Nr. 14. Lwów, 15. Kwietnia 1886. **Rok I.**

STRAŻNICA POLSKA

PISMO
POLITYCZNO-EKONOMICZNO-SPOŁECZNE
wychodzi
dwa razy na miesiąc, każdego 1. i 15.
Pojedynczych Nrów nie sprzedaje się.

PRENUMERATA
na „Strażnicę polską“ wynosi:
Kwartalnie:
We Lwowie: bez przesyłki 1 zł. 50 ct.
„ z przesyłką 1 „ 60 „
Na prowincyi: . . . . 1 „ 70 „
Za granicą: . . . . 2 „ — „

REDAKCYA w Rynku L. 8.
ADMINISTRACYA Rynek L. 9.
Inseraty od wiersza (petit) 5 ct.
Wszelkie należytości przysyłać należy pod adresem
Do Administracyi „Strażnicy polskiej“
na ręce p. **Szczęsnego Bednarskiego,**
Lwów, Rynek l. 9.

†

Śp. Jan Michał
HEIDENREICH-KRUK.

„*Wytrwał do końca*“. Oto słowa, które winny być wyryte na grobowcu patryoty, a dzielnego żołnierza polskiego, który winien przynajmniej obecnemu pokoleniu służyć za przykład, jak to Polakowi należy kochać ojczyznę, bez względu na dolę, jaka mu pozostaje w udziale. Był to zaiste pracownik na niwie narodowej, jakich się już dzisiaj mało spotyka.

Rzućmy okiem na cały żywot zmarłego jenerała, aby poznać tę siłę ducha, która w nim żyła i tak samo jak z orężem w ręku na polu bitew, szedł ten duch naprzód z równem męstwem, po całej ścieżce żywota, dopóki ostatniego tchu w piersiach stało — aż do grobu.

Śp. Michał był dzieckiem Warszawy; urodzodzony w chwili strasznej klęski, i bolu narodu, dnia 19. września 1831 roku. Nie można o tem wątpić że już z piersi matki wyssał te ideały, jakie obok chrztu świętego powinny się rodzić, pielęgnował je też w duszy tak samo, jak wiarę ojców. Do szkół uczęszczał naprzód w Warszawie, a potem w Berdyczowie, poczem z biegiem okoliczności wstąpił do armii rosyjskiej. Niezwykłemi zdolnościami odróżniał się w szkole akademii wojskowej, od innych kolegów; to też aczkolwiek będąc Polakiem, czego się nigdy nie zapierał, już w rokn 30. życia, widzimy go jako majora sztabu jeneralnego w Petersburgu. Nie ulega wątpliwości, że uśmiechała mu się karyera, którą ludzie zwykli nazywać świetną. Stopnie pułkownika, jenerała i t. d., są silną ponętą dla zwykłych śmiertelników.

Naszego Michała nie zdołały one jednakowoż skusić, bo miłość ojczyzny nie była dlań frazesem. To też na pierwsze hasła budzącego się ducha wolności w Polsce, sztabowiec ten podaje się do dymisyi, pomimo wszelkich odradzań i wskazówek, że przyszłość swoją depce nogami. Z pierwszymi bojowymi strzałami na polskiej ziemi, już go widzimy w bratnich szeregach pod nazwiskiem Kruka, toczącego zacięty bój z Moskwą w Lubelskiem i Podlaskiem, a Rząd narodowy oddał mu tamże naczelne dowództwo wojskowe.

. . . .

Któż z ówczesnej generacyi nie pomni bitwy i zwycięztwa naszych pod Żyżynem, gdzie Moskwa wprowadzona w zasadzkę przez Kruka, poniosła najzupełniejszą klęskę, pomimo znaczniejszych sił. Milion rubli, przeważnie w złocie i 200 jeńców, nie licząc innych zapasów jakie wróg prowadził, były trofeami tego zwycięstwa. Rrząd narodowy mianował go za bitwę pod Żyżynem generałem.

Pomijamy tu walkę wewnętrzną i bole, na jakie wystawiony był ten dzielny oficer, gdy widział i czuł, że powstanie mogło przybrać daleko korzystniejsze rozmiary, inaczej zwyciężać, a pomimo to były to tylko śmiertelne zapasy, tłumiące poświęcenie i męstwo, przez tych wyrodnych synów, którzy gubili i gubią Polskę, bijąc czołem przed zupełnie innymi ideałami. „Targowica“ z r. 1863 i 64, nie da się zaprzeczyć. Z tych to powodów, widzimy potem śp. Heidenreicha walczącego w nieszczęsnej bitwie pod Fajsławicami, ale już nie jako dowódcę generała, lecz jako prostego ochotnika. Ten jeden fakt, otacza już aureolą szlachetnego rycerstwa i patryotyzmu, nieposzlakowanego, naszego serdecznego druha.

Przypatrzmy się teraz trzeciej epoce jego żywota.

Gdy powstanie zostało przez Moskwę stłumione, dla naszego wiarusa pozostała tylko dola tułacza, a gdy tylko stopa jego stanęła na obcej ziemi, którą obrał sobie za etap tymczasowy, nie traci ani jednej chwili na marzeniach i fantazyach, ale staje z silną wolą do pracy niezbędnej w codziennym żywocie, nie żąda łaski i wsparcia, gdyż sam chce sobie wszystko zawdzięczać. O ile dzielny w boju i patrzący śmiało śmierci w oczy, o ile wykształcony i uzdolniony, o tyle w życiu powszedniem cichy, spokojny i odznaczający się dziwną skromnością. Pod bluzą robotnika dziennego, kto go nie znał, nie mógł się nawet domyśleć, że to generał wojsk polskich i zwycięsca z pod Żyżyna. Usta jego wolne były od wszelkiej czczej chwalby, pyszałkowstwa i wszelkiej chęci imponowania innym śmiertelnikom. Chwile wolne od pracy, poświęcał jedynie na tułactwie zdobywaniu dalszej wiedzy, tak wojskowej jako też udoskonaleniu się w innych działach nauki.

W krótce też uzyskał odpowiedniejsze stanowisko jako inżynier, przy kolei lyońskiej w Paryżu, gdzie jednym z dyrektorów był znany weteran z r. 1831. śp. Ostrowski, postać idealnie piękna i szlachetna, pałająca pomimo siwizny i podeszłego wieku, prawdziwie młodzieńczym zapałem miłości ojczyzny. Rzesze tułacze wszystkich epok od 1831 roku, znały tego zacnego rodaka, który nikogo nie puszczał, wspierając go czynem i radą. Otóż do jego domu, znalazł wstęp śp. Heidenreich, gdzie gdy go poznano bliżej, otoczono serdecznem ciepłem, a później śp. Ostrowski, uznał go ze wszech miar godnym, aby mu oddać rękę swej ukochanej córki, zrodzonej na tułactwie, która również tylko jeden ideał uwielbiała — ojczyznę rodzica.

Śp. Heidenreich, pomimo szczęścia jakie mu dawało domowe ognisko, i uwielbiana przezeń towarzyszka żywota, nie przestał tęsknić za rodzinną ziemią, a więc gdy się tylko nastręczyła możność, podążył znowu na polską ziemię pod polskie niebo i przybył do Galicyi. Tu znalazł zatrudnienie przy dyrekcyi kolei Arcyksięcia Albrechta jako inżynier, a gdy przekonano się o jego zdolnościach, wysyłany był kilkakrotnie w sprawach urzędowych do Francyi.

Bóg mu dał córkę. Towarzyszka żywota wychowana na tułactwie, jakkolwiek w warunkach dodatnich bytu, ani na chwilę nie zapoznała swego nowego stanowiska i jakie ma obowiązki żona tułacza-żołnierza, a że odebrała odpowiednie praktyczne wychowanie, gdy mąż pracował w biórach kolei, ona rozpoczęła twardą pracę przemysłową. Ta żona generała polskiego, stworzyła pierwsza pracownię maszynową, tak zwanych robót kobiecych pończoszkowych. Ona w tym zakresie była naprzód jedyną i pierwszą robotnicą. Zrozumienie gruntowne w tym kierunku, chęć podniesienia przemysłu zacnej pracy kobiecej i walki na tem polu z najazdem obcym, oto były bodźce dodające odwagi do wytrwania i postępu. Wyobraźmy sobie kobietę młodą, z wyższem wykształceniem, a weźmy na wagę i jej stanowisko społeczne, zasiadającą do maszyny roboczej rano, a pracującą do późnego wieczora fizycznie. Nic nie pomogły uwagi męża, który obawiał się, czy siły ciała sprostają woli ducha. Gdy jednak zrozumiał, że rozwój pracy w tym kierunku przemysłu domowego może się stać dla kraju dobrodziejstwem, postanowił i sam w tejże brać czynny udział. To też wszystkie wolne chwile poświęcał wspólnym usiłowaniom żony. Za przykładem śp. Jenerałowej Heidenreich poszły i inne zacne Polki, a jej pracownia pomnażała maszyny ręczne i co raz więcej było pracownic.

Niestety — los straszny miał niebawem uderzyć gromem w to ognisko domowe. Córa szlachetnego tułacza i żona żołnierza osierociła go wkrótce i najukochańszą dziecinę, która zaledwie ósmy rok liczyła. Był to straszny cios dla naszego dzielnego i zacnego jenerała, ale przyjął go z męstwem i rezygnacyą. Wtenczas całą miłość swą przelał na jedyne dziecko, a chociaż ból szarpał to szlachetne serce, nie dał mu się złamać, szukając ulgi w podwojonej pracy.

Aby zająć się i dopilnować wychowania córki, zrezygnował ze stanowiska inżyniera kolei i objął pracę, rozpoczętą przez ukochaną żonę. Rozpatrzywszy się więcej w tej gałęzi i w handlu krajowym, przyszedł do przekonania, że w tym kierunku można rzeczywiście oddać dobre usługi przemysłowi krajowemu. Jedzie więc za granicę i tam obznajamia się do reszty praktycznie z całym mechanizmem i pracą techniczną, a powróciwszy, rozpoczyna niebawem tę fabrykę, za pomocą najnowszych i najkorzystniejszych machin. Jakkolwiek mógł na każde skinienie dostać z zagranicy każdą żądaną liczbę robotników wprawnych, przywozi on z sobą tylko jednego majstra francuza, aby wraz z nim wyuczać młodzież miejscową. Odtąd jenerał nasz zamknął się formalnie w swojej fabryce, a przywdziawszy bluzę robotniczą, pracował dziennie przeciętnie po 18 godzin, a nawet i dłużej. Gdy już złożył dowody swej umiejętności, a produkcye z jego fabryki budziły zaufanie, Wydział krajowy przyszedł mu w pomoc pożyczką, aczkolwiek niewystarczającą jeszcze, by ten przemysł mógł się prawidłowo rozwijać. Nasz przemysłowiec wielce sumienny i świadom obowiązków, że zwichnięcie tej pracy i niedotrzymanie warunków na siebie przyjętych przyniosłoby szkodę krajowi, i podkopałoby zaufanie do rodzimego przemysłu, obecnie podwaja swą czynność i pracuje z takim zapałem, iż niejednokrotnie zastać go było można uśpionego, w ubraniu siedzącego nad księgami, rachunkami i korespondencyami, gdy już na miejsce nocy biały dzień zawitał, a z ubezwładnionej ręki wypadło pióro. O ile całą siłę miłości wylewał na córkę, wykreślił z rachunku swoje własne „ja“, odmawiając sobie samemu wszystkiego, co w przekonaniu jego mogło stanowić uszczerbek dla zakładu przemysłowego, obciążonego obowiązkami spłaty publicznego powierzonego mu grosza.

Kto znał bliżej czysty, niepokalany charakter tego człowieka, jego szlachetną ambicyę, jego pojęcia i zapatrywania, jakim ważnym czynnikiem podniesienia się winna być moralność społeczna, ten zrozumie i jego trwogę, gdy chociaż jeszcze w niepewnych zarysach zaczął mu się przedstawiać smutny los jego usiłowań, opartych na poglądzie trzeźwym, a obliczanych nieomal na matematycznych pewnikach powodzenia. Te poglądy na podniesienie przemysłu — „o c z k a r s t w a“ (tak nazwał wyroby pończoszkowe), nieopierały się na fantazyi i optymizmie, ale na rzeczywistych pewnikach, że rozwój tej gałęzi przemysłu na Lwów i Kraków, której produkcye wprowadzamy do kraju, przedstawiają rocznie krociowe cyfry — można tej inwazyi śmiało stawić czoło. Heidenreich przygotował siły robocze z miejscowej młodzieży. Wyroby w jego fabryce produkowane wytrzymywały pod każdym względem konkurencyą, tak co do jakości jakoteż i ceny.

Żelazna wola tego człowieka przebiła pierwsze lody, to też słusznie mógł patrzeć z spokojem w przyszłość rozwoju. Doznał jednak strasznego zawodu. Kraj, udzielając mu zasiłek na rozwój tego przemysłu, w cyfrze bardzo ograniczonej, nie otworzył mu jeszcze tem samem drogi, do swobodnej, prawidłowej pracy i rozwoju myśli. Nasze ankiety przemysłowe i komisye, od których rozwój przemysłu krajowego głównie zależy, nie mają niestety tego poglądu, jak daleko i gdzie należy nieść pomoc takim pionierom jak śp. Heidenreich, który uczynił wszystko co było w jego mocy w obec danych mu środków; nie zmarnował ani jednego grosza napróżno, a najlepszym tego dowodem, że najsumienniej sporządzony inwentarz fabryki daje dowód, iż stan czynny przewyższa bierny o 6000 zł. w urządzeniach, maszynach i gotowych wyrobach.

Ze smutkiem zaznaczyć musimy, że kupiectwo nasze i handel nie podały ręki bratniej temu dziel-

nemu pracownikowi, a mamy na to wiele przykładów, że stały względem niego nawet wrogo, bo nietylko że nie chciały brać do sprzedaży jego wyrobów na stały rachunek, lecz nawet tłumiły popyt za tymi. Ale była jedna jeszcze rada skuteczna, a mianowicie, aby fabryka zaopatrzoną została przedewszystkiem w własny budynek, dalej chociażby jaki taki motor parowy i produkcya tak się powiększyła, aby obok fabryki we Lwowie i w Krakowie, można było otworzyć chociaż dwa magazyny własne. Wtenczas niechęć naszych kupców byłaby złamaną, którzy nie mogąc wytrzymać nadal konkurencyi z wyrobami zagranicznymi, zmuszeni by byli zaopatrywać swe składy w fabryce krajowej.

Te widoki jednak i słuszne nadzieje rozwiały się jak mgła o niezrozumienie tych, którzy stanowią o podniesieniu naszego przemysłu w kraju. W obec hasła „oszczędności", jakie opanowało ostatnią sesyę sejmową, naturalnie, że nikt nie uważał za właściwe zajrzeć do fabryki Heidedreicha i zastanowić się nad jej teraźniejszością i przyszłością, a więc i podanie jego a raczej memoryał został bezwzględnie odrzucony, a kilkuletnia praca skazaną została tem samem na zagładę.

Ś. p. Heidenreich był to mąż, który prowadził ścisły rachunek swego żywota. Mamy przed sobą część jego pamiętnika, w którym zaznacza podług dni i godzin każdy krok swego żywota. Jest to jakby spowiedź sprawiedliwego, przekazana tym w testamencie, którzy po nim następują. Część ta pamiętnika jest bez zaprzeczenia wielkiej wagi, a rzucająca ciekawe światło na nasze stosunki nie tylko ogólnikowo społeczne, ale szczegółowe warunki rozwoju tak nazwanej pracy organicznej. Zadaniem naszem będzie zrobić we właściwym czasie publiczny użytek z tego pamiętnika, z którego kraj pozna, jak to nawet najdzielniejsze siły nasze muszą wobec takich warunków marnieć i chować się aż do grobu.

Urywek pamiętnika o którym wspominamy, a który ś. p. Heidenreich troskliwie ukrywał, nosi na początku datę 9. grudnia 1885 r. Już przy końcu pierwszego ustępu czytamy taką myśl wielce patryotyczną:

„Nietylko wyrobnik, nietylko droga ojczyzna nasza, ale każdy z osobna i cały ogół społeczeństwa naszego tylko przez pracę i następnie przez oświatę z dzisiejszej niedoli wyzwolić się mogą.

Dzisiaj, gdy cały kraj nasz o pracę woła, gdy w pracy widzi zbawienie każdego z osobna i wszystkich w ogóle, tylko wróg światła, tylko przyjaciel siły brutalnej gwałtu, bezprawia i fałszu, nie zechce usłuchać głosu tego.

Oby głos ten doszedł do ludzi dobrej woli i rozumiejących swój własny interes, do ludzi kochających kraj swój więcej, jak interes osobisty".

Dalej odzywa się do osób wpływowych i decydujących w takich sprawach; przedstawia jasno i błaga nie dla siebie, ale dla dobra kraju, miłosierdzia dla klasy robotniczej o pomoc, aby ta praca jego nie zmarniała, a tak mówi:

„Nie dla siebie, ale dla kraju upraszam o pomoc. Stan zdrowia mojego jest tak zachwiany, że nieobiecuję sobie długiego życia. Córka moja nie mogłaby także korzystać z tego interesu. Jedynem mojem życzeniem byłoby przeto, aby tyloletnia praca moja i ofiara wysokiego Wydziału krajowego, na stworzenie przemysłu oczkarskiego, odniosły pożądany skutek, aby przemysł ten raz w kraju naszym stworzony, nie up... mojej".

Niezapominajmy, że tak mówił patryota, który rzeczywiście przewidywał rychły swój skon, bo prawa fizyczne nie mogły wytrzymać żelaznej siły ducha, a więc ciało niebawem musiało runąć. Gdy się jednak niedługo przekonał, że głos jego jest głosem wołającego na puszczy, dał za wygranę i przystąpił do ostatecznego obowiązkowego rachunku, który uskuteczniał z gorączkowym pospiechem, oddając temu obowiązkowi resztki sił żywotnych. W przeczuciu rychłej śmierci, daje obraz najszczegółowszy stanu swej fabryki, obznajmia następców ze wszystkiem co im wiedzieć należy, wskazuje jasno co dalej czynić wypada, aby praca ta nie poszła na marne. A gdy to wszystko ukończył z prawdziwie żołnierską skrupulatnością, czytamy jego ostatnią wolę, która tak brzmi:

Dnia 30. grudnia 1885 roku godzina 11. przed południem.

Niezostawiając żadnego funduszu, dla dziecka mojego, nic mi więcej nie pozostaje, jak powierzyć je opiece narodu polskiego. Czy ta opieka będzie skuteczną? Zdaje mi się że tak. Ja przecie przez całe życie moje tylko dobro kraju mojego miałem na celu.

Chciałbym, aby dziecko moje otrzymało wychowanie czysto polskie. Gdyby babka mojej Ludwisi, p. Ostrowska, zamieszkałą w Paryżu i utrzymująca się z bardzo małej emerytury, chciała ją wziąć do siebie, stanowczo bym sobie tego nie życzył, albowiem w Paryżu dziecko moje byłoby pozbawione wychowania polskiego.

Być może także, że p. Moszczańska, zamieszkała obecnie w Egipcie, która jest chrzestną matką mojej Ludwisi i prawdziwie po macierzyńsku ją pokochała, zechce ją mieć u siebie. Byłoby to może najlepsze, ale nie wcześniej, aż kiedy Ludwisia skończy swoją pensyę u Niedziałkowskiej i zda egzamin na nauczycielkę".

Tu się urywają jego pamiętniki, bo siły fizyczne opuszczają go z każdą chwilą coraz więcej. Zajęty swoją ukochaną Ludwisią i rozmowami z najbliższym mu sercem domem bratnich dusz Niedziałkowskich, ojca i córki, która od smierci matki, zajęła się wychowaniem Ludwisi, a Bóg jej za to widocznie błogosławi, bo dzieweczka rozwija się na godną córę żołnierza polskiego.

Tu jeszcze jeden rys charakteryzujący tego męża twardych zasad i aż do surowości nad samym sobą posuniętych poglądów. Oto gdy widział, że śmierć jest nieuchronna i każdej godziny może jej się spodziewać, gdy po najsumienniejszem sporządzeniu bilansu fabryki, przekonał się, że jego własność i praca nie istnieją, a tylko pokrycie grosza publicznego, — purytanin ten odmawia sobie wszelkich potrzeb, aby tylko nie uszczuplić tego grosza, aby nic nie zmarnować nawet z ruchomości, bo to znów spuścizna jego Ludwisi, wystrzega się, aby nikt nie dojrzał jego niedostatku, niedomyślił się potrzeb. Doszło więc do tego, że żyje jak nędzarz ostatni i zaledwie już przed śmiercią, doszło grono przyjaciół tej tajemnicy. Bratnie serca przyszły natychmiast z pomocą, ale i tu potrzeba było silnych przekonań, aby była przyjęta przez tego druha serdecznego.

Nadeszła nareszcie chwila ostatnia. Na dwie godziny przed skonem, pojednawszy się poprzednio z Bogiem, wezwał do siebie jednego ze starszych druhów i w ręce jego powierzył pracę swą, z dziedziny żołnierki narodowej i cenne poglądy na sztukę wojskową. Druh, żegnając się z nim, nieprzewidywał nawet, że już we dwie godziny później, to szlachetne serce bić przestanie.

Tak skończył żywot na wyłomie i wytrwał do końca, a jego ostatnie wyrazy były: Bóg i Ojczyzna.

* * *

Niech nie mówi nikt, że nie biją już bratnie serca, które chociaż po skonie umią oddać cześć dobrze zasłużonemu ojczyźnie. Tak też i Lwów wyległ gromadnie w dziesiątkach tysięcy narodu, aby odprowadzić na ostatni spoczynek patryotę, żołnierza, Polaka, a ta sama krakuska, którą miał pod Żyżynem, i ta sama szabla, którą uderzał na wroga, zdobiły jego trumnę. A trumnę tę, okalały liczne wieńce, które znieśli w ofierze wszystkie stany, zacząwszy od resztek weteranów z 31. roku, aż do szkolnej młodzieży i tej, która pracuje twardo w warstatach. Od domu żałoby, aż na cmentarz, przechodził kondukt pomiędzy dwiema żywemi ścianami, a znowu tysiące, postępowały za trumną.

Z jakąż wdzięcznością i szacunkiem uchylały czoła te tłumy narodu przed arcypasterzem **ormiańskiego obrządku**, przezacnym księdzem Isakowiczem, który nie zawahał się ani chwili, aby odprowadzić do grobu jak należało, dobrze zasłużonego ojczyźnie, żołnierza, generała wojsk polskich.

Bóg Ci zapłać za to arcykapłanie! Obyś żył nam jak najdłużej i ogrzewał swem patryotycznem ciepłem, ducha obywateli tego starego grodu!

Już na cmentarzu zabrzmiały trąby hymnem „Jeszcze nie zginęła", a dwóch druhów bojów 63. roku, obywatele Kubicki i Ibiański, pożegnali ukochanego wodza. Nad grobem wzrosła mogiła z wieńców.

Według woli ostatniej zmarłego, Ludwinia jego pozostała pod troskliwą opieką jednej z najzacniejszych Polek, panny Niedziałkowskiej, przełożonej instytutu wychowczego dla dziewcząt. I zaiste w lepsze ręce niemógł umierający ojciec oddać swej ukochanej córki, jak tej, której nie jest obcym chleb tułaczy, a ideałem dla niej stało się czuwanie nad wychowaniem dziewic polskich.

Gdy ofiarność obywatelska, do której wzywamy wszystkich patryotów składa się na to, aby sierota jej powierzona nieuczuła strasznej swej doli, zabezpiecza jej byt, dostarczając środków na wychowanie, sami pp. Niedziałkowscy zażądali, aby oprócz nich, czuwał jeszcze opiekun w imieniu narodu. Obowiązek ten przyjął na siebie wielce szanowny Franciszek Zima, a to już wystarcza, że ukochane dziecko żołnierza polskiego, nie będzie narażone na sierocą dolę. Jej przyszłość, to chlubny obowiązek narodu.

J. N. z Oleksowa Gniewosz.

Pamiętnik więźnia stanu

ś. p.

Ks. Wincentego Bukowskiego,

PLEBANA.

14)

(Ciąg dalszy).

Sądowa Wisznia.

Miasteczko to dosyć wesołe leży na gościńcu lwowskim trzy mile od Sambora. Proboszczem i kanonikiem był ks. J. Sulikowski, ten sam, co za książkę utracił katedrę i wszelkie godności, a nawet jak mu się zdawało infułę i mitrę. Dlatego się martwił, dręczył i sprawę zalewał, a przytem płakał i narzekał na swój los. Uczony i kochający Ojczyznę, z sercem szlacheckiem, przyjął mię grzecznie i zaszczycał dość długo swoją, przyjaźnią, odesławszy mię do klasztoru, bo tam było mieszkanie dla księdza świeckiego. Tam zamieszkałem z burymi mnichami. W małym domku niedaleko klasztoru umieściłem matkę. W Sądowej Wiszni nie było kościoła i mieszkania dla księdza, tylko w klasztorze, a to z tej przyczyny:

Przed 1786 r. był tu kościół farny wspaniały, w którym odbywały się sejmiki; stał tam, gdzie dziś oberza przy trakcie. Gdy wybuchł pożar i spalił się dach, komisarze rządowi zaprzedali mury za 75.000 złotych polskich i wynieść się kazali proboszczowi do klasztoru Reformatów za miasto, położonego o jakie ćwierć mili na górze. Oznaczyli mu mieszkanie w osobnem skrzydle i ogródek, i tak proboszcza ścisnęli, że się stał igraszką burych mnichów. Kto nie mieszkał z mnichami pod jednym dachem, ten nie ma wyobrażenia o pożyciu z nimi i o niepokojach, jakie umieją płatać. Proboszcze więc wynosili się na swój folwark za miastem daleko, aby się tylko usunąć od mniszej napaści, zostawiając swoje miejsce wikaryuszom. Mieszkałem tam w tem osobnem skrzydle w trzech celkach z tą wielką niedogodnością, że mię mnisi pod kluczem trzymali, jakby w drugiem więzieniu. Nie długo im jednak ulegałem, bo kazałem sobie dorobić klucz. Kiedy mi potrzeba było, odmykałem i zamykałem furtę, nie potrzebując czekać, lub marznąć za furtą. Klasztor ogromny, opasany murem, na sto mnichów, z kamienia wybudowany, nie wiem przez jakiego fundatora; narzucony ludowi na kościół parafialny, mało jest odwiedzany, szczególniej w czasie zimowym i słotnym, gdy potrzeba brnąć w glinie czyli ile, która to droga dla koni wcale nieprzystępna. Nieraz pamiętam podczas słoty na wiosne lub w jesieni musiałem się drapać po płotach do miasta lub do chorego. Miejsce zaś i okolica przyjemna. Przed klasztorem taras i widok na całe miasto, za klasztorem gaj sosnowy i łany.

Odwiedziwszy ks. gwardyana, który był tylko rzadkim gościem w klasztorze, bo się włóczył nieustannie po dworach, umieściłem się w celkach moich jak mogłem. W Sądowej Wiszni dobrze mi się powodziło, bo miałem u posesora stół, 200 zł. od proboszcza i dochody dobre. Posesor miał syna, który kończył szkoły gimnazyalne, i prosił mię, abym mu go uczył. Chłopiec był utalentowany, ale nad swój wiek zepsuty. Przychodził do klasztoru, a w południe szedł ze mną do rodziców na obiad. Ukończywszy z nim nauki, pojechał do Lwowa i zdał egzamin. Jadłem później u matki, która wraz z dwoma sierotami, wnuczkami po siostrze, mieszkała opodal. Gdy jednak posesor znów zaczął mię molestować, abym mu uczył córeczkę, przyjąłem znów u niego stół. Był to człowiek zacny i serdeczny.

Rok 1848 rozpoczął się i tu wesoło i ruchliwo z powodu konstytucyi. Utworzyła się gwardya, chociaż nie liczna, odprawiano musztry, różne nabożeństwa i zaprowadzono radę narodową. Przemawiałem mając rozwiązany język, to też okoliczna szlachta ceniła mię i zapraszała do siebie, ale za to Czesi i Niemcy nienawidzili mię, że ich nazwa

Na dziś.

II.

Jakim sposobem wyjść ze smutnego stanu, określonego w artykule poprzednim? Tem zagadnieniem zakończyliśmy uwagi o niedołężnej polityce, o zgubnych wpływach zwolenników obskurantyzmu, o wierze w cuda bez pracy, o mglistych i niewyraźnych nadziejach, snujących się ciagle po głowach, dla których stereotypowe „Jakoś to będzie” ma znaczenie siły tajemniczej, a nakoniec o tem, że sfery wpływowe i widne majątkiem i stosunkami, pracują zarówno w Galicyi, jak w Poznańskiem w usługach armii jezuickiej.

Te ostatnie usługi musimy jaśniej określić, bo u nas istnieje smutny zwyczaj podnoszenia wrzasku zawsze, ile razy zdaje się komu, że się ktoś ośmielił targnąć na tradycyjny w Polsce katolicyzm. My nie napadamy na niczyją wolność sumienia, bo żądamy bezwzględnej tolerancyi, toż nie może być mowy o poniewieraniu miłych ogółowi lub pewnej warstwie tradycyj.

Natomiast, kto pragnie odrodzenia w pracy rozumnej i patryotycznej, musi się wyrzec fanatyzmu religijnego. Musi także dążyć do tego, ażeby z polityki narodowej nie robić narzędzia religijnego, nie chwytać dusz i umysłów obłudnem i bezpodstawnem zapewnianiem, że tylko *ślepa wiara* zdoła wyprowadzić społeczeństwo z bezdennej przepaści, przygotowanej przez wiek cały.

To nazywamy obłudą jezuicką i na usługach tej obłudy widzimy Poznańskie i Galicyą całą z końca w koniec. Ile złego zrobiła pod względem politycznym, szczególniej w Galicyi wschodniej, taktyka i propaganda jezuicka, nie widzą jeno ci, którzy widzieć nie chcą. Ciosy zaś, które zadała taż sama taktyka ks. Poznańskiemu, są aż nazbyt widoczne, żeby o nich trzeba mówić. Gdzież to bowiem dzisiaj owe hufce anielskie, które miały bronić lud polski w Wielkopolsce od zniszczenia? W przesadnej gorliwości o dobra duchowne, broniła tamtejsza reprezentacya nie sprawy narodowej, ale sprawy Kościoła, a dziś najwyższy jego reprezentant wyparł się ludu *polskiego*, wyraźnie *polskiego*, byle lud ten pozostał katolickim. Czy on będzie niemczonym, a oczywiście będzie, tem się nie troszczą sfery jezuickie. To co miało być puklerzem polskości, stało się narzędziem jej zagłady, a stało się w lot, skoro taki potentat, jak książę Bismark zawarł ugodę z Kuryą rzymską w widokach swojej polityki.

Tak bywa i tak będzie zawsze, ilekroć słaby jest i nieprzezorny i dla pięknych słów, a celów na pozór wyższych, pozwala z siebie robić narzędzie. Jak różnorodne wpływy byłytam czynne, to tajemnica, ale jawnym jest smutny fakt.

Drugi podobny fakt rozegrał się w oczach naszych, w Galicyi. Ztąd bowiem, co całkiem naturalne, wychodziła inicyatywa, ażeby Papież, ażeby najwyższa głowa Kościoła, ujął się za unitami lubelskimi. Wiemy dokładnie, że kongregacya jezuicka w Galicyi i Krakowie pracowała nad sparaliżowaniem przygotowywanego aktu. Powiedziano, że protest wszelki z Rzymu, byłby krokiem „niepolitycznym“. Dziwne to, ale niemniej prawdziwe. Więc władza duchowna, bezwzględna wobec słabych, kieruje się względem silnych nie dobrem najwyższem, ale „względami politycznemi“.

Czy była może obawa, że protest nie odniósłby skutku? więc obawa kompromitacyi politycznej? Nie, obawy podobnej nie było, bo choćby rzeczywiście bezskutecznie protestowano, to najpierw doniosłość takiego aktu nie minęłaby bez wrażenia w świecie, a powtóre doniosłość spełnionego obowiązku powinna wystarczyć za wszystko.

Stało się inaczej, jak zawsze się dzieje słabym, łudzonym, łudzącym się dobrowolnie i uwiedzionym.

Powiedziano sobie, że łatwiej w Galicyi, pod skrzydłem władz katolickiej Austryi, urządzać między ludem ruskim rekolekcye i misye i jątrzyć go przeciw polskości, niż narażać się rządowi prawosławnemu. To jasne i niestety! obusieczne.

Ciosy powyższe spadły nie na jeden odłam ludności polskiej. są one ogólne, dotykają całe społeczeństwo. Ci, którzy mieli prawo upomnieć się o prawa ludzkie i narodowe, nie dopilnowali swego obowiązku, a ci natomiast, którzy byli obowiązani wskazać na gwałt zadany sumieniom, obwieścić to z oburzeniem przed całym światem, przez usta tak poważne, jak Namiestnika Chrystusowego, ze stanowiska tak wysokiego, nie uczynili tego ze względów politycznych(!) Pomieniane role, wydały smutny owoc i nikt go nie podejmie, bo on spadł na łono społeczeństwa polskiego i jeżeli są tacy, którzy się cieszą koroną męczeńską — to z drugiej strony, jak wygląda chwała polityczna, tak fatalnie zawiedzionych?

A teraz dodajmy jeszcze: jak wygląda pretensya, legalnych naszych reprezentacyj do przodownictwa w polityce? Błędy za błędami, pomyłki jedna smutniejsza od drugiej, to trochę więcej, niżby usprawiedliwić wolno wymówką, że „błądzić, to rzecz ludzka“.

Do tego błędnego koła polityki, podprawianej względami jezuickiemi, przyczepiła się także delegacya galicyjska w Wiedniu. Za jedyny swój obowiązek w rzeczach głównych, poczytuje sekundowanie prądom reakcyjnym. Mniejszości delegacyi tej obwiniać nie można, gdyż musi ona tak występować, jak uzna „nieomylny trybunał“ Koła polskiego. Nawiasem powiedziawszy, szkoda, że się nazywa polskiem, bo jeszcze duch i myśl polska nie były nigdy w tak ciasnem kole obskurantyzmu, chyba za czasów smutnej pamięci Zygmunta III. i Jana Kazimierza.

Są dwie drogi do wyprowadzenia kraju z pod opieki niedołęstwa. Jest jedna droga przypadkowa, jakiś nagły zwrot w polityce ogólnej, na co liczyć na pewne nie można i jest druga, mozolna, ale pewna.

Dojrzewający już do poczucia i samodzielności stan mieszczański, obowiązany jest użyczyć poparcia inteligencyi i starać się o pomnożenie w reprezentacyach liczby członków z miast. Osiągnąwszy to, należy czuwać, ażeby mandatów poselskich nie brali ludzie z baranią głową i baranią pokorą wobec zuchwałej i warcholskiej przewagi obskurantów, zasłaniających się tradycyą i frazesem patryotycznym.

Powtóre raz na zawsze postawić należy zasadę i propagować ją, że droższym powinien być interes społeczeństwa i kraju, niż wątpliwej wartości honor i splendory tych, którzy mniemają, że z nazwiskami odziedziczyli i zasługę męczeństwa i chwały przodków swoich. Kraj nie jest obowiązany bronić ich honoru, ani dobrej opinii o nich, jeżeli sami na nią nie zarobili.

Po trzecie, jeżeli kaprys albo czułość serc skłonnych do przyjmowania natchnień od fanatyków *przestarzałych pojęć*, zniewala rozamorowane w pleśni sfery, do konserwowania owych cuchnących świętości — to niech je sobie oprawią w ramki i postawią na pierwszem miejscu u ognisk domowych, ale nie na ołtarzu interesów ojczystych. Na widowni bowiem tej idzie o to, ażeby tam stały hąsła praktyczne, postępowe, ciągnące społeczeństwo naprzód, ale nie wstecz.

Wszelkich więc starań i pracy musi dołożyć wolna od przesądów inteligencya, ażeby uwolnić społeczeństwo, mieszczaństwo, lud i młodzież od wpływu owych na pozór tak przykładnych, a w istocie należących do świata umarłych sfer.

Po czwarte, trzeba raz przestać łudzić kraj, miasta i resztę świata i powiedzieć otwarcie, jak wygląda sprawa oświaty ludu. Najbliżej interesowani nie życzą sobie tej oświaty, a w miastach łudzą się, że się coś robi dla tego, że istnieją wydawnictwa ludowe, że „Macierz Polska“ z taką ostentacyą wprowadzona, ruszy z posad wiekuistych, równie wiekuistą ciemnotę. Nie można też pominąć *faktu*, że większa część wydawnictw zalega półki i szafy starszej braci, owej szlachty, która to według Krasińskiego „lud prowadzić umie“. Tu nie idzie o to nawet, żeby prowadziła „do boju“ na trudy i niewygody, lecz tylko do boju z ciemnotą, a jednak przewodnictwo zasypia. Następnie przypatrzmy się, co się to daje w owych wydawnictwach. A nakoniec spytajmy, gdzie ci mecenasi, którzyby nastręczyli sposobności ludziom chętnym do poznania życzeń nurtujących w łonie tej ławy piasczystej, nazwanej ludem? Sami nie chcą wiedzieć o tem, zaś żeby kraj cały o tem nie wiedział, postarano się taki obrót nadać przesławnej Macierzy, ażeby nikt nie badał tajników duszy ludowej, tylko żeby tak sobie wydawać książeczki w mieście pisane. Niekiedy ktoś się zmiłuje i nadeszle cokolwiek z prowincyi, ale też i na tem zmiłowaniu polega cała czynność.

Niech się więc miasta nie łudzą — w oświacie ludu nie ma żadnego systemu, a raczej jest system, którego hasłem dużo wrzasku, wiele uniesień, setki pochwał, miliony czułości i „perlących“ się łez, a w gruncie takie działanie, żeby było, jak było przed stu laty.

Po piąte, prosimy najpokorniej zwrócić uwagę na prace i zabiegi *Akademii umiejętności*. Cóż robi ta instytucya, która miała być źródłem ożywczem dla umysłów całego kraju — ba, całego narodu niemal? Albo śpi, albo drukuje rzeczy pobożne. Wprawdzie i bogobojność jest rzeczą potrzebną, szczególniej nieobłudna bogobojność zdałaby się wysoko urodzonym, wyrosłym nagle na polityków i dyplomatów bez nauki i praktyki — ależ Akademia umiejętności, nie jest akademią dogmatyki. Za to wszystkie nowe zdobycze w dziedzinie filozoficznej a po części i prawa międzynarodowego, są dla członków Akademii księgami zamkniętemi na siedm pieczęci, bo muszą być zamknięte i dla „bogobojnej“ trzody, nazwanej narodem. Tak postanowiono, nie z góry wprawdzie, ale z boku, a hasło wyszło od tych sfer, które zawsze bokiem przez przedpokoje Watykanu albo dworów przychodzą do splendoru. Inne natomiast widoki otwierają się dla wielu członków tej wysokiej magistratury oświecenia. Jeżeli nie w rocznikach Akademii, to w innych pismach rozpoczynają wojnę podjazdową przeciw filozofii nowoczesnej jako herezyi (sic), przeciw realizmowi i socyologii — słowem przeciw wszystkiemu, co

---

łem zawłokami. Jeden z drożników groził mi pozaocznie siekierą w łeb, a syndyk Czech, Neumann nienawidził mię i obiecywał przy sposobności zemstę.

Gdy się utworzyła rada narodowa, obrano mię prezesem rady; prowadziło się ją dość spokojnie i dobrze. Rozstrzygano spory dla ludu, przez co liczba chłopów i żydów wzrastała przy nas. Gdy się te rady odbywają, wpada jeden wichrzyciel i woła Rusinów na inną radę, chcąc rozdwojenie wywołać, ale ja powstawszy odezwałem się: „Panowie obywatele! tu nie ma rady polskiej, ale narodowa, a do narodu należą w Galicyi Polacy, Rusini i Żydzi, przeto my jedną tylko radę mieć możemy, a innej wcale nie potrzeba. Zważcie panowie radni, że wspólny macie magistrat, wspólne potrzeby i koszta, a więc i wspólna rada. Kto chce może mówić po polsku lub po rusku. I o cóż tu chodzi? Poco rozdzielać to, co było przez 500 lat tak ściśle spojone w kościele i w narodzie“. Ta mowa spodobała się i nie chciano innej rady. Radziliśmy nad czem mogli i co było na czasie. Gdyby tak było potrwało, wiele by się było dobrego zaprowadziło.

Razu pewnego opowiada jeden z radnych, że u ruskiego parocha jakiś ksiądz (był to katecheta łacińskiego obrządku Dubiecki, wyświęcony łotr i zdrajca) mówił do chłopów, aby wzięli w ręce kosy i tę radę rozpędzili, bo ona radzi na ich zgubę. Taka mowa była dla ciemnego chłopstwa jakby olej lany na ogień, bo lud już i tak zgrzytał zębami, podburzany ze wszech stron na radę i Lachów. Wnosił więc ten pan radny, aby księdza związać i w nocy za miasto wyprowadzić.

— Uchowaj Boże! — rzekłem — byłoby to gwałtem, zbrodnią kryminalną, a powtóre chociaż to człowiek niegodziwy, plamiący charakter duchowny, jest on kapłanem i na uszanowanie dla świętego stanu zasługuje. Otóż byłaby moja rada, aby dwóch z pp. radnych udało się do ks. parocha i temu księdzu katechecie powiedziało, że ponieważ podburza lud do buntu, aby się wyniósł z miasta i wyjechał, bo inaczej może być znieważony i ukarany od pospólstwa.

Ks. Dubiecki przeląkł się tego poselstwa i tego samego dnia wyjechał.

Zasługuje on, aby w krótkości podać jego życiorys, bo ten ksiądz niegodny, stósowniejszy był raczej na oprawcę, aniżeli do uczenia religii młodzieży. Odgrywał on smutną rolę w czasie gwałtów i szpiegostwa.

Ks. Dubiecki, syn ekonoma, oddziedziczył po ojcu krew zbójecką, z której tenże słynął u chłopów. Podły i ambitny bez granic, postanowił sobie przez służalstwo i szpiegostwo pozyskać względy, aby tym sposobem dojść do godności, a może i infuły. Zostawszy katechetą, przyczem nie zważano na charakter łagodny, cierpliwy i ojcowski, jaki katecheta posiadać powinien, ale wybierano po prostu policajów w sutannie, aby byli postrachem dla młodzieży, takową szpiegowali, maltretowali i ćwiczyli. Dubiecki beształ a nawet bił młodzież i wpadał z nią w zatargi i z rodzicami, a nawet był czynnie znieważony. Nic sobie z tego jednak nie robił, tylko mścił się, rozdając złe klasy, a staroście Czeczowi przedstawiał, że ćwiczy młodzież, bo spiskuje, czytuje zakazane książki i t. p. Jednego roku na 250 uczniów wsypał 98 dwójek z religii — czyli wypędził ze szkół, lub powtarzać przymusił tę samą klasę, co było wielką krzywdą dla rodziców. Wiele młodzieży wpakował do kozy, lub oddał w kamasze. Słowem, był to szatan powszechnie znienawidzony, oplwany, a nawet bity. Musiał się wynosić do Rzeszowa. Tu go podczas konstytucyi młodzież szkolna wygwizdała, kocią muzyką uczciła i wypędziła, upraszając o innego katechetę, ale go jej nie dano.

Gdy Lwów zbombardowano, powrócił Dubiecki z zemstą szatańską do Rzeszowa; wysadził kilkunastu uczniów ze szkół i kilku profesorom odebrał chleb, podając ich jako agitatorów do rządu. Nie dość na tem; zaczął wojnę z biskupem. Wakowało probostwo w Sieniawie w dobrach księcia Czartoryskiego. Biskup przedstawiał trzech kandydatów. Dubiecki na mocy swych względów u rządu był pewien, że to probostwo otrzyma, chociaż

za granicą jest już powszednim chlebem dla profanów, a u nas zgorszeniem dla pseudouczonych. Ciż sami panowie z przyjemnością drukują na tytułach swoich rozprawek: Napisał członek Akademii umiejętności. A co napisał? Z niwy historycznej najczęściej coś potępiającego uczonych, którzy w wieku reformacyi ośmielili się podnieść głos przeciw hegemonii jezuickiej w polityce.

Czy Akademia taka godna jest narodu, który się chełpi posiadaniem od pięciu wieków uniwersytetu, a naród z taką reprezentacyą naukową na zewnątrz, czy godny jest sympatyi oświeconej Europy?

Równie wspaniałe owoce wydaje praca ciał naukowych obu uniwersytetów. Na jednym, lwowskim, brak wszelkiego zapału i zamiłowania w przedmiotach nauki, na drugim, krakowskim, nauka według dyktatów encyklik papieskich. Czy nie lepiejby było od razu zawrócić wszystką młodzież z uniwersytetu krakowskiego, z wyjątkiem fakultetu medycznego — do seminaryów duchownych i dostarczyć całej Europie wojującego Kościoła o świeckie prawa Namiestnika Chrystusowego?

Wszystkie wyliczone sprawy sprzęgają się w tak przedziwną całość, że wyrasta z tego podziwu godna polityka niedołęstwa. I jeżeli dawniej szło o wyzwolenie tej lub innej klasy z więzów feudalnej hegemonii, to dziś idzie o wyzwolenie całego społeczeństwa z więzów głupoty, narzucanej, szerzonej i propagowanej rozmaitemi ścieżkami. Od najwyższych ciał naukowych, od biur i stowarzyszeń publicznych począwszy, a skończywszy na skromnych radach powiatowych, towarzystwach oświaty, czytelń i zgromadzeniach przedwyborczych — wszędzie znajdują się poniewolne lub dobrowolne narzędzia systemu ociemniania lub zaciemniania najżywotniejszych interesów. Zerwać z tem, to pierwszy krok, a otworzyć, choćby przyszło wybić pięścią okno na świat szeroki i jego sprawy — to drugi obowiązek, ciężący na całem społeczeństwie.

Kto w tej walce uczuje skłonność do lamentu, że mu rozbito gniazdo jego sobkowskich myśli, niech lamentuje do śmierci. Lepsze to, niż lament całego społeczeństwa po niewczasie.

Mowa posła KANTAKA.

wypowiedziana d. 1. kwietnia 1886, w czasie obrad nad projektem ustawy dotyczącej niemieckiej kolonizacyi w Prusach zachodnich i w Księstwie Poznańskiem. Podług sprawozdania stenograficznego.

Poseł Kantak: Moi Panowie! Deputowany p. von Rauchhaupt rozpoczął swą mowę temi słowy: dosyć już tych polskich debat agitacyjnych przeprowadzonych w tej oto Izbie. Moi Panowie, zaznaczyć tu muszę, iż pierwszy polski temat agitacyjny wraz z wnioskiem Achenbacha i wolnokonserwatywnem i narodowoliberalnem wspólnictwem, został wprowadzony do Izby przez samych panów konserwatystów. (Całkiem słusznie!).

Następnie wyjaśnia, w jak szczególny sposób zacierały się granice językowe, na co chce przytoczyć dowody — do usiłowanych a nieudałych dowodów rekrutacyi powrócę później — a w tym celu odczytał rozmaite daty statystyczne jednak ja twierdzę, że to była znowu Randowszczyzna.

Ale moi Panowie, na posiedzeniu z 15. stycznia przytoczył i poseł p. Jażdżewski Reichstagowi daty statystyczne, czerpane z urzędowych sprawozdań, jednak doszedł do zupełnie przeciwnych rezultatów.

Widzicie więc moi Panowie, że jestto najgorszem, gdy się przytacza wielka mnogość cyfr. Nikt nie może objąć ich dokładnie, nikt w tej chwili sprawdzić, a szczególnie zbadać sposób zestawienia tychże, co też jest rzeczą nader wielkiej wagi. Gdyby zaś prawdziwe dane królewski rząd państwa przedkładał zawczasu, możnaby je spokojnie zbadać, pojedyncze cyfry porównać i może nawet dojść do innych a prawdziwszych rezultatów. Przyjaciel mój p. Jażdżewski do wręcz przeciwnych doszedł wyników niż p. Rauchhaupt i wykazał, — cyfry czerpię ze sprawozdania stenograficznego które mam przed sobą, — że w latach od 1822 do 1837 wzrosła liczba ludności katolickiej na każdych 100.000 w 18.804, a protestanckiej 29.447. Wykazał następnie, że w roku 1875 dnia 1. grudnia liczył Poznań katolików 1,009-848, protestantów 573.995, a dnia 1. grudnia 1880 było katolików 1,112.020, protestantów 691.370 i że „w stosunku do obu wyznań w międzyczasie od r. 1822 –1837 a później między rokiem 1875 a 1880, ludność protestancka prawie się podwoiła, gdy katolicka wzrosła zaledwie o jedną trzecią“, a nadto jeszcze, iż „między ludnością katolicką, liczba Niemców wcale jest okazałą. Moi Panowie i tu macie cyfry, a to cyfry przeciw cyfrom, twierdzenie przeciw twierdzeniu, a jak sądzę, poseł p. Jażdżewski prawdziwie nie na mniejszą zasługuje wiarę, jak poseł p. Rauchhaupt.

Nareszcie moi Panowie, twierdzi p. Rauchhaupt katolickie z polskiem a niemieckie z protestanckiem zrównóważa się. Pan dr. Wehr, modyfikuje już w części to twierdzenie, mówiąc, że się prawie zrównoważa. Pan Drichtel wyjaśnił, że w Prusach zachodnich nierównoważy się wcale. Poseł p. dr. Wehr, który mówił tylko o Kwidzynie (Marienwerder) — później wspomnę o powiecie Chojnickim (Konitz) i o Koronowem (Deutsch-Crone), sam raz tu wspominał o Chojniczanach, jak skutecznie ochraniają swą niemiecką norodowość. Pokazuje się więc, iż między katolicką ludnością Prus zachodnich jest bardzo wielu Niemców.

Co się tyczy Wielkiego Księstwa Poznańskiego, to ilość niemieckich katolików tamże powiększyła się znacznie; chcę tylko na to zwrócić Panów uwagę, jak przy wyborach, w okręgach Wschowskim (Fraustadt), Kropskim (Kröben) i Lesznie (Lissa) główną odgrywają rolę i decydują we wszystkiem niemieccy katolicy. W okręgach Trzciańkim Nadnoteckim, Czarnkowskim, Piły, znachodzi się mnóstwo niemieckich katolików. Ja sam mieszkając na wsi, należałem do parafii Chojna, wsi zamieszkałej przeważnie przez Niemców, chociaż ta znajduje się w okręgu Wągrowieckim, który tworzy prawie sam środek Polski. Widzi więc jasno pan Rauchhaupt, że jego twierdzenie, które postawił jako dowód, nie zgadzało się z prawdą.

Omawiał następnie poseł p. Wehr temat tu właśnie naprowadzony, o zacieraniu się granic językowych. Gdzie są te dane, kto je dostarczył? Prawda, wspominali w Izbie niektórzy panowie to o tem, to o owem; ale ażeby rząd państwowy, którego byłoby obowiązkiem, dostarczył nam stanowczych danych, o tem nic mi nie jest wiadomo.

Pan Rauchhaupt powtarza jeszcze ciągle „notorycznie“, a że było to notorycznem, dla tego też wyraźnem, gdyż my tu słyszeli mowy niemieckich posłów z polskich prowincyj. — Tak jest moi Panowie! jeżeli niektóre mowy tych panów tu wygłaszane Izbie wystarczają, wtedy i mnie niejedno bardziej jest zrozumialszem! Chcę jednak wierzyć, że Izba, w której te mowy głoszono, mogłaby łatwo postawić jeszcze inne żądania. Moi Panowie, byli tu — nie odnoszę tego wprost do obecnej chwili, by nikogo nie dotknąć, pomimo mej wiary, że i dziś są jeszcze tacy posłowie — byli tu niegdyś posłowie, których znaliście panowie sami, a którzy przejęli się byli taką nienawiścią Polaków, takiem polakożerstwem że wybuchali z całą wściekłością, jak rozdrażniony byk czerwoną płachtą, skoro tylko mowa była o Polakach.

Teraz pozwolę sobie przejść do samego projektu ustawy. Moi Panowie, wasze sprawozdanie zaczerpnięte z wniosku Achenbacha i to zupełnie słusznie, gdyż samo przyjęcie tego wniosku i to że poprzód uwiadomiliście rząd panstwowy o chęci popierania każdego projektu ustawy, bez względu na tegoż treść i motywa, który by miał tylko za cel wzmocnienie rzekomo uciskanego niemieckiego elementu, a względnie i w istocie skierowanymby był przeciwko Polakom, miał rząd państwowy prawo przedłożyć taki właśnie i tak umotywowany projekt do ustawy.

Moi panowie, nieznanym jest w dziejach parlamentarnych wypadek, gdzieby przedstawiciele narodu oświadczali z góry gotowość, do uchwalania praw, których treści ani rozciągłości nikt nie zna i poznać się nie silił, lub też do przyjmowania sum nieznanych, a których wysokości nikt nie dochodził, tak nieznanym jest w dziejach parlamentarnych projekt ustawy, żądającej 100 milionowej pożyczki, popartej tylko słowami, jestto „notorycznem“, „spróbujemy“ lub też „nie bez skutku“.

Rząd królewski państwowy, będąc pewnym takiej większości, która miała przyjąć wszystko, mógł tylko komisyi wyszłej z jej łona polecić ułożenie podobnych motywów, a wreszcie ją wezwać do przedłożenia materyałów dowodowych, do dania odpowiedzi jaką ta też dała, a którą scharakteryzował dokładnie poseł p. Huene. Pan zaś, panie Rauchhaupt, możesz mówić co ci się podoba, jeżeli w referacie rządowym innych materyałów niebędzie, prócz „jestto rzeczą zupełnie jasną“, i „każdemu znaną“. To też „jestto rzeczą zupełnie jasną“ i „każdemu znaną“ jest równoznacznem z wyrazem „jestto notorycznem“ użytym w motywach, a pan Huene słusznie twierdził, że: dla tego jest to notorycznem, bo jest notorycznem.

A więc moi Panowie, omawiamy notoryczność, omawiamy czyn i możliwe tegoż skutki i twierdzimy właśnie przeciwne. Ja zaś twierdzę moi Panowie, że notorycznem jest uciskanie polskości przez niemieckość. (Bardzo słusznie! ze strony Polaków).

Jest więc twierdzenie przeciw twierdzeniu. Moi Panowie, kto na swojem twierdzeniu chce oprzeć jakieś żądanie i robi sobie podobne nadzieje, ten obowiazany jest udowodnić swoje twierdzenie. I ja też mieszkam w Wielkiem Ks.

---

książę dał prezentę swemu bibliotekarzowi i ten był już instytuowany na plebana, ale rząd go uznać nie chciał. Był to uczony, duszą i ciałem Polak, zwał się Lipiński Aleksander, ofiara tyranii i zemsty. Rozgniewany Dubiecki opisuje ks. biskupa Wierzchlejskiego, donosi wszelkie jego mowy i czyny i mści się w najpodlejszy sposób.

Później w rok, gdy biskup był u gubernatora Gołuchowskiego, powiada mu gubernator, aby w cztery oczy zganił ks. Dubieckiemu te donosy, które do gubernium nieustannie wysyła, odbiera chléb nauczycielom, gubi ojców i dziatki i t. p., „bo my musimy z tych donosów robić użytek, a jednak to nie uchodzi dla osoby duchownej trudnić się takimi donosami, do których rząd ma swoje organa“. Biskup w krótkim czasie miał u siebie plebana rzeszowskiego, któremu zlecił, aby gdy żyje w przyjaźni z ks. Dubieckim, temuż wyperswadował, by się nie bawił dalej w szpiegostwo, bo mu to nawet gubernator za złe bierze. Proboszcz nie chcąc szpiegowi mówić w oczy, napisał list, co mu ksiądz biskup powiedzieć polecił. Dubiecki posyła ten list do Wiednia do ministeryum wyznań i oświecenia i powiada: „Oto patrzcie, jak mię biskup prześladuje za moje do tronu przywiązanie“.

Przychodzi do gubernatora reprymenda, a od tego do biskupa, za ten krok niepolityczny. Dla Dubieckiego zaś pochwała i zachęta do dalszej takiej służby, a do gubernatora już wyraźne pelecenie, aby pierwsze lepsze beneficyum rządowe obsadzić Dubieckim. Jakoż zawakowało w Żydaczowie piękne probostwo. Podaje się Dubiecki, ale arcybiskup Barański wziął na kieł i mając zasłużeńszych dziekanów, dał najgodniejszemu, a Dubieckiego nawet w ternie nie umieścił. Wkrótce wakuje Leżajsk, ale i tu go ominęło, bo zasłużeńszy ksiądz otrzymał. Tak się stało i z Wieliczką. Zniechęcony, znienawidzony, porzucił katedrę i przyjął kapelanię wojskową, którą mógł zaraz po wyświęceniu otrzymać, a nie po 24 latach swych zasług położonych w rządzie. Zostawszy kapelanem w regimencie Heinau w Wiedniu, rozpoczął natychmiast swoje intrygi, ale tu usłyszał od pułkownika takie słowa prawdy, że musiał zrezygnować. Nareszcie w dobrach Arcyks. Albrechta w Radziechowie, w górach zawakowało probostwo, które otrzymał i tam osiadł znienawidzony i okryty pogardą od wszystkich.

Wracam znowu do Rady. Na tych radach oświecało się lud o obowiązkach obywatelskich, broniło się go od krzywd, jakich się dopuszczał sprzedajny magistrat i wskazywało drogę do prawa. Naturalnie, że taka rada nie podobała się syndykowi magistratu Neumannowi. Jeźli gdzie w Galicyi był głupszy i podlejszy Czech nad niego — nie wiem. Neumann Johannes przybył do Lwowa z Czech piechotą i za wielką protekcyą swoich krajanów dostał się za praktykanta do Mościsk. Umiał zaledwie jako tako ortograficznie pisać. Pisał za dzienną płacę przez kilka lat, aż się głupim mieszczanom w Sądowej Wiszni zachciało mieć magistrat, chcąc się tym sposobem wydobyć z drapieżnych objęć mandatarów. Wpadli biedni z deszczu pod rynnę. Kapitał 30.000 stopił się w ręku dziesięciu magistratualnych darmozjadów, resztę zabrano i zawieziono do Lwowa. O majątkach miast naszych szukaj w dziełach innych. Pan Neumann przyszedł na kancelistę, a wnet został syndykiem. Jego żona Babetta prowadziła frymarkę z brodatymi żydkami, a podwładni pisarczuki i „policeirewizor“ naganiali grosz do kalety syndyka. Wkrótce pan syndyk sprawił sobie wykwintne meble, garderobę, futra, kocz, grał w karty, pił, bawił się, prowadził życie pańskie, wyprawiał bale. Albo to on jeden wtenczas był takim; gdy nawet wówczas polizeirewizor był większym panem, aniżeli dziś konsyliarz. Żydki dostarczali pieniędzy łupiąc mieszczanów. Taki to był stan powszechnego łupieztwa po miastach i po wsiach. Tak zwani prezesowie i syndyki kupowali kamienice i dobra. Neumann i jego polizeirewizor zaczęli dokuczać radzie, podnosząc znowu bardzo głowy, ale gdy go rada i gwardya trzymały na wodzy, stulił uszy, i chował na później, szpiegując tylko i spisując.

Od Wielkiejnocy do listopada uczyłem w kościele z ambony w katechizmach, w szkole i w ra-

Poznańskiem i zapewniam Panów, że mam to niezłomne przeświadczenie, jako tylko wyłącznie my na każdym kroku jesteśmy uciskani, ale nie niemieckość. Twierdzicie panowie, że tu i ówdzie zmniejszyła się ilość Niemców, w takim razie ci, jak właśnie panom poseł Dirichlet powiedział, przeszli dobrowolnie, nieuciskani przez nikogo, inni przenieśli się do stolicy, inni na zachód i t. d. gdyż o ucisku niemieckiego elementu przez Polaków mowy być nie może.

Moi Panowie, zadaniem komisyi, jest badanie przedłożonych wniosków ustawowych. Jeżeli rząd państwowy odrzucił wniosek p. Huene, w którym był przedłożony niezbędny materyał, cóż za podstawy do badań miała komisya? Nie była w możności zadość uczynić obowiązkom i przedsięwziąć zbadanie w celu przekonania się, o ile są słuszne jednostronne twierdzenia rządu. A przypuśćmy że zdarzył się podobny wypadek, powinno się jej wtedy tyle dostarczyć jeszcze dowodów, by z tego osądzić mogła, o ile wypadek ten miał miejsce i badać ciągle, w celu wytworzenia sobie niczem niedającej się obalić świadomości, czy żądanie to koniecznem jest w całej osnowie, czy też powinno być ograniczonem. Naturalnie — komisya nic niezdziałała podobnego, mówię tu tylko o większości komisyi, a nawet czynię jej wprost zarzut, iż była z góry przygotowaną przystać na wszystko, i że dążyła jedynie do tego, aby wnioskowi ustawy skierowanemu przeciw ludności polskiej, nadać bardziej nieprzyjacielską formę. Mniejszość bowiem zaznaczyła rzetelną chęć zbadania, przez zażądanie materyału dowodowego. Gdy jednak życzeniu tejże odmówiono, nie pozostawało nic innego, jak cały przedłożony zarys ustawy, uznać jako niemożebny do przyjęcia. Ale ja sądzę, jak i moi rodacy, a panowie słyszeliście to już od wielu członków tej Izby, a jeszcze więcej takich znajdziecie tu i w kraju — a nawet wprost twierdzę: Rząd niemając dostatecznego materyału, niemoże go dostarczyć, a o tem wie dobrze, że ta odrobina, którą dostarczyć jest wstanie, jest niewytrzymującą krytyki.

Komisya przedłożyła Izbie swój referat z żądaniem przyjęcia projektu ustawy. Rozchodzi się tu wyłącznie o §. 1., gdyż decyduje tenże o obaleniu lub utrzymaniu się ustawy; dalsze paragrafy odnoszą się do szczegółowego przeprowadzenia ustawy. Zapytuję więc was panowie, zastępcy ludu: Czyście gotowi przyjąć na się odpowiedzialność, zezwalając na pożyczkę 100 milionową, nieznając ani rozciągłości, ani wymogów tego sprawozdania? Gdyby sam rząd państwowy dziś jeszcze miał zrobić jakie doniesienie, odpowiedziałbym: że podobnych doniesień w plenum roztrząsać niemożemy, a to dlatego, iż rząd sprzeciwiał się udzielaniu doniesień komisyi, a teraz tu rozchodzić się może tylko o zmianę parlamentarnego wyrażenia, które by nas w błąd wprowadzić mogło. Zresztą czyż nasze stosunki finansowe są tego rodzaju, byśmy mogli udzielić bez namysłu 100 milionów? Czyż nie jesteśmy panowie zmuszeni odrzucać rok rocznie najsłuszniejsze żądania waszych urzędników, mianowicie urzędników niższych, którzy w najopłakańszych stosunkach pełnią swe obowiązki, a to jedynie z braku odpowiednich środków? Czyż nie przedkładają nam tu i w niemieckim reichstagu rok rocznie najuciążliwsze projekta podatkowe? Czyż niedoszły już podatki państwowe, szkolne, gminne i komunalne do maksimum, a których zmniejszyć nie można ze względu na finansowe stosunki? I wobec tego chcecie panowie zezwolić bez żadnego uwzględnienia potrzeb na tak nagłe udzielenie 100 milionów pomimo tego, iż w prowincyach Poznańskiem i Prusach zachodnich nie zaszło nic nawet najmniejszego? Jeżeli wystarczają wam moi Panowie rządowe motywa: „jestto notorycznem“ lub „jestto koniecznem“, nadto zbyteczną jest dalsza dyskusya w tej Izbie, a wystarczy zupełnie, gdy prezydent ministrów książe Bismark, zapewni was według nowej teoryi słowem honoru, iż tego zachodzi potrzeba. Jeżeli zastępstwo narodu ma być zepchniętem do tak nieszlachetnej zaprawdę roli, lub jeżeli sami do tego chcecie doprowadzić Panowie, wtedy byłoby lepiej zaoszczędzić koszta zastępstwa ludowego!

Aby wzmocnić w polskich prowincyach niemiecki element, żądacie pieniędzy! W takim razie rząd powinien postąpić uczciwiej nie naprowadzając tu pozornych przejrzystych, a w istocie fałszywych pozorów. Jak i przez kogo uciskanym jest żywioł niemiecki? Począwszy od najniższych urzędników, a skończywszy na nadprezydencie, z nader rzadkimi wyjątkami i to w służbie niższej, są zajętymi w zarządzie sami Niemcy. Podobnie jest i w sądownictwie, gdyż Polak najwyżej może się dobić karyery adwokackiej, jako najmniej zawiłej. Tak samo i w wyższem szkolnictwie. Tu wzbraniają prawie kandydatom praktykę w ojczyźnie. Nie inaczej dzieje się w urzędach pocztowych, kolejowych, podatkowych i w ogóle wszędzie, gdzie obsadzanie zależy od rządu. I tak moi Panowie częściowo wpływają podatki napowrót w kieszenie niemieckiej ludności, ale w nasze kieszenie, które się też do tego przyczyniają, nic jakoś nie wpływa. Domeny dzierzawią sami Niemcy; na budowę niemieckiego teatru, udzieliły wyższe sfery tysiące tysięcy pod warunkiem, by w nim grano tylko po niemiecku, a przedstawienia polskie zawisły od pozwolenia nadprezydenta; niemieckie towarzystwa gospodarcze są subwencyowane; niemieccy obywatele otrzymują pożyczki na najniższy procent w celu wykupywania dóbr itd. itd. Moi Panowie i jeszcze 100 milionów z funduszów państwowych do wzmocnienia żywiołu niemieckiego, z funduszów państwowych, do których wzrostu i my Polacy przyczyniać się musimy! Czyż więc nie może to oburzyć, gdy rząd ma tę odwagę, odwagę, do której zcharakteryzowania prawdziwie nie mogę znaleść parlamentarnego wyrażenia — obawiam się, by p. prezydent nie wezwał mię do porządku, gdy ją nazwę cyniczną — odwagę, moi Panowie powiedzieć: obywatele polscy są w przykrem położeniu, więc nadarza się teraz właściwa chwila, by za tych 100 milionów wykupić polskie dobra!? Tak postępuje rząd państwowy z częścią swych poddanych, którzy uczciwie pełnią obowiązki państwowe. A mimo rozwinięcia prawa silniejszego, gdzie nie brak też drwin i szyderstwa, śmie książe Bismark mówić o Paryżu i o Monaco; a minister rolnictwa nazywa ten projekt ustawy dobrodziejstwem dla Polaków! Zaprawdę moi Panowie, drwiny i szyderstwa księcia Bismarka i te dobrodziejstwa pruskiego rządu, utkwią głęboko w naszych sercach i zachowają się pewnie w naszej pamięci. A jestto w istocie doskonały sposób, zjednywania ku sobie serc swoich poddanych.

Jak uważam, chcielibyście poważnić i rozdwoić ludność polską. Ale czyż nieczujecie Panowie sami, że obrażacie polskiego obywatela i polskiego wieśniaka? Niemiecki wieśniak może i powinien kochać i cenić swoją narodowość; polskiemu obywatelowi i wieśniakowi, niechcecie na to pozwolić Panowie. lub mu niedowierzacie, czy jest do tego zdolny i czy to potrafi! A dla czegoż, wykupując dobra polskiej szlachty, wykluczacie od zakupna nowo powstałych gospodarstw polskich wieśniaków? A jednak poseł Rauchhaupt uznał w swej mowie polskiego wieśniaka za najlepszą ochronę naszych polonizacyjnych dążności. Mowę tę wypowiedział p. Rauchhaupt 23. lutego, a ustęp ten przytoczyłem dosłownie.

Tak moi Panowie, wy sami jesteście o tem przekonani, że przez was wywołane różnice są tylko sztuczne i wyimaginowane, a nie takie, jakie byście je mieć pragnęli. Jesteście przekonani, że tak szlachcic jak duchowny, obywatel jak wieśniak kochają swą wiarę i ojczystą mowę, ich serca i dusze zapełnia harmonijna jedność i jedni jak drudzy pracują wspólnymi siłami, aby na gruncie legalnym i tylko legalnym podtrzymać swą narodowość. W tych dniach dopiero, mieliście Panowie świeży przykład, jak nasz wieśniak czem raz więcej nabiera samowiedzy, poczucia własnej godności i rozwija w sobie miłość narodowości i samodzielności. Przykładem tym było zgromadzenie wiesniaków w Wierzenicy pod przewodnictwem samych wieśniaków, na którem jako mowcy występywali tylko wieśniacy, wymieniając swoje zapatrywania i sądy o postępowaniu rządu w szkole i kościele, o ścieśnianiu polskiej mowy, a projekt ustawy o kolonizacyi, uznali jako akt gwałtu wymierzony przeciw bezbronnemu ludowi.

To co nazywacie moi Panowie agitacyą, jest niczem innem, jak tylko objawem świadomości siebie, narodowości własnej, na powierzchni publicznego życia. A że świadomość narodowości ożywiła się teraz i wnika w najdalsze warstwy społeczne, to nie tylko u nas ale w całym świecie, ponieważ objaw ten jest wypływem naszego stulecia. Spojrzyjcie Panowie w własną przeszłość: Jakże to dawno, gdy zapełniano twierdze tymi, jako zdrajcami stanu, którzy głosili o narodowości i jedności Niemiec. Moi Panowie, dziś sami utworzyliście narodowe państwo i proklamowaliście za podstawę narodowość; nie możecie się wznieść przecie do tej sprawiedliwości, abyście to co sami czynicie, uważacie za słuszne i szanujecie, nie wzbraniali i innym za słuszne uważać i uczcić.

A jednak przyczyniacie się wbrew własnej woli do tego, że my postępujemy czem raz dalej na drodze samopoznania naszej narodowości. Pragniecie Panowie, byśmy jak najprędzej zniknęli w niemieckim żywiole, a niechcecie tego zrozumieć, że środki gwałtowne nie tylko do tego się nie przyczyniają, ale owszem wywołują skutek całkiem przeciwny. Ten ucisk właśnie budzi świadomość i upór, a tam gdzie już ledwie iskierka błyszczała w popiele, rozżarza jasny płomień i budzi do nowego życia. Spoglądnijcie w wasze dzieło Panowie z ostatnich lat. Ustawa językowa posunięta aż do śmieszności, bo dotycząca wywieszek ulicznych, zastosowania językowego w interesach z władzami, barbarzyńskiego zmieniania historycznych miejscowości, zaprowadzenia w szkołach ludowych niemieckiego języka wykładowego, zdwojona energia w prowadzeniu „kulturkampfu“, symulowanie szkół, zabronienie ojcom decydowania o narodowości dziecka — jak to słyszeliście Panowie w tych dniach — nieuczyniono bowiem zadość woli

---

dzie, oświecałem lud ciemny i dziatwę. Obchodzono różne nabożeństwa, poświęcenie chorągwi narodowej itp. Z Rusinami i z księżmi ruskimi żyłem w zgodzie, nie sprzeciwiałem się ich zachciankom, bo były słuszne, a błahe same przez się upadały.

Razu pewnego przyjechał kanonik do cerkwi, zwołano lud i przedstawiano mu potrzebę zaprowodzenia domu narodowego — „Matycy russkiej“. Kryłoszanin mówił językiem rusko-moskiewskim, lud go nie mógł rozumieć, a zwłaszcza że mówił za długo, bo dwie godzin, od Adama aż do dziś dnia. Gdy mowę hajdamacką pełną jadu przeciw Polakom wygadał, wyszedłem z cerkwi, a za mną kilku mieszczan Rusinów i chłopów, i pytają się mnie, o czem ten dziekan mówił, bo oni go nie mogli nic a nic zrozumieć, Opowiedziałem im, a oni: „chodim do domu, ne damo niczoho“.

Nieraz w towarzystwie księży ruskich na praźnikach, gdy się języki rozwiązywały, tak były mowy ich wraźliwe, tak hajdamackie, ubliżające charakterowi kapłańskiemu, że nie można było tego słuchać. Musiałem zbijać historycznie lab żartami, a często opuszczać towarzystwo. Razu pewnego zaczęli na praźniku dysputę o dumie i pysze polskich magnatów, i wiele w tej materyi opowiadano prawdziwych i zmyślonych faktów, a między innemi o Mikołaju Potockim, staroście kaniowskim. Ja im na to: „Moi bracia! Arystokracyę wszędzie znajdziecie, a szczególnie w dawnych wiekach. Jeszcze to polska arystokracya nie tyle broiła, co innych narodów. Czytajcie dzieje Niemiec, Francyi, Anglii, Włoch i t. p., a co się tyczy Mikołaja Potockiego, wszak on był Rusinem, umarł w Poczajowie i tam spoczywa, a po rusku do śmierci mówił, bo nietylko u Lachów, ale i u Rusinów jest arystokracya. „U nas nema“ odrzekł któryś, — bo nasza szlachta sia zlaszyła“. A ja: — A mimo to jeszcze jest arystokracya i tego wam dowiodę. — „Chody Cz., chody N., słuchajte: win nam prawyt, że u nas jest arystokracya, chotiaj ne ma szlachty“. A ja im mówię, że jest, posłuchajcie pilnie. A gdy uszy nasterczyli i słuchali, powiadam: — „I mimo szlachty, która się zlaszyła, jest u Rusinów arystokracya: bo chłopy, popy, to arystokracya, a swyni, byki, to demokracya“. Jedni w śmiech, a drudzy tajnym gniewem przyjęli ten dowcip. I tak starcia Rusinów z Lachami wywoływały gniewy, gwałty, nieprzyjaźnie i różne figle. Aż w końcu zaniechano sprzeczek i rozterki agitacyjne ucichły.

Upływały gorące miesiące w tym ruchu konstytucyjnym. W Wiedniu rozprawiał sejm de lana caprina, a tymczasem sołdateska i biurokracya wichrzyły. Ciemne chłopstwo uradowane podarowaniem pańszczyzny, samowolne, za lada podmuchem mogło wywołać rzeź z r. 1846. Dlatego też część oświeceńsza narodu cierpiała i kręciła się w zaczarowanem kole konstytucyjnem legalnem. Już zbombardowano Kraków, Pragę, Brescyę, Wenecyę itd., już żołdactwo pijane i oficerowie napastują gwardyę, ale naród znosi cierpliwie te napady, aż wybuchła rewolucya w Węgrzech, w Wiedniu, zbombardowano Wiedeń i rozkazano bombardować Lwów. Jenerał komenderujący Hammerstein z pod Wysokiego zamku walił bombami w najokazalsze budowy, i tak zburzono nowo wybudowany ratusz, uniwersytet z biblioteką, forum, teatr, aptekę Tomanka. Naród stawiał barykady, które zburzono. Strzelano do kobiet, dzieci, księży. Faktem jest, że żołnierze z pułku „Deutschmeister“, składającego się przeważnie z Wiedyńczyków, strzelali do przekupek, czyniąc zakłady o cygaro. Następnie rozpoczęło się łupiestwo po sklepach, po domach plądrowało żołdactwo chciwe rabunku. Co się działo przy tych wrzekomych rewizyach, zgrozą przyjmuje. Młodzież czmychała do Węgier, a leniwszą zabierano w kamasze. Dzienniki przestały wychodzić, więziono mnóstwo osób, miasto zamknięto, wyłowiono emigracyę, która zawczasu nie umknęła i wydawano Moskwie.

Z wesołego i ludnego Lwowa utworzył się jakby cmentarz. Ruina i zniszczenie, płacz i smutek wszędzie. Dzień zaduszny był dniem wielkiej żałoby dla Lwowa i dla całej Galicyi.

. . . .

. . . .

ojca Polaka, żądającego, by jego syn uczył się i po polsku, gdyż on powinien przeważnie uczyć się po polsku! Moi Panowie, ta droga po której rząd stąpa, jest bardzo pochyłą. Zdają się sprawdzać słowa Maryi Teresy, która podpisując akt podziału Polski, ze łzami w oczach wyrzekła: Podpisuję z porady wielu rozsądnych mężów, ale się obawiam, że długo jeszcze po mej śmierci, będzie cierpieć ta część świata wskutek tego rozłamu, brak zasad uczciwości i sprawiedliwości

Jednak, by rząd powstrzymać na tej pochyłej drodze — Panowie, cóż robi wielu z was tu w tej Izbie posłów? Poseł p. Wehr woła do rządu: tylko nie półśrodkami! dla niego zawsze za mało prześladowania Polaków i polskiego ducha, A poseł p. Schmidt (Sagan) przy petycyi znanego Filipiaka posunął się tak daleko, iż rzekł: „wreszcie“ — (przytaczam dosłownie ze sprawozdania stenograficznego, gdyż to jest unikatem, wskazującym, jak to daleko dojść można) — „chciał bym na to zwrócić uwagę, że pojęcie narodowości jest przecież mniej więcej nieokreślonem, a na każdy sposób niedokładnie ograniczonem“. Może to być prawdą w stosunku do p. Schmidta, (Sagan), ale dla nas jest ono aż nadto ograniczone i określone. I do jakich wyników przychodzi poseł Schmidt (Sagan)?

— iż o tem do jakiéj narodowości — należeć ma pojedyńczy człowiek i jego dzieci, będzie kiedyś rozstrzygać kompetentna władza, na podstawie wszelkich szczególnych okoliczności. (Słuchajcie! Słuchajcie! Wesołość w centrum).

A wobec podobnych przedłożeń i całego systemu rządowego skierowanego przeciwko nam, poseł p. Haugwitz głosi w zgromadzeniach ludowych, „Niemcy, Niemcy nad wszystko“.

Wszystko to zaiste oburzające i drażniące chrześcijańskie, obyczajowe i ludzkie, nie może nic innego wywołać, prócz przeciwieństwa tego, co miano na celu. Tak Panówie, bylibyśmy bez czci i czucia, gdyby było inaczej i tak w naszych jak i w waszych oczach bylibyśmy godni tylko wzgardy. A że tego niechcemy, zarzucacie nam winę, opierając na tem czem raz nowsze gwałty, których powodu jedynie szukać należy w waszem szowinistycznem wynoszeniu się.

Oto jest ucisk niemieckiego żywiołu! — Teraz przystępuję do statystyki rekrutacyi ze sprawozdania, na którą poseł p. Rauchhaupt kładł tak wielki nacisk mówiąc:

Udowodniliśmy o ile wzmaga się zacieranie językowe u i przez rekrutów.

Moi Panowie, co sądzić o podobnych statystycznych wypadkach przy obliczeniach w czasie rekrutacyj, powiedział właśnie poseł p. Huene, który sam był oficerem. Ależ Panowie, gdzież jest treść właściwa? Pan referent przedłożył cyfry z ostatniego trzechlecia, dlaczego nie cofnął się wstecz jeszcze o lat kilka? Czy te 3 lata są tak dowodzące? Gdyby był wziął 5 lat, przekonałby się wtedy, że z wyjątkiem okręgu kwidzyńskiego, gdzie miały miejsce zapewne jakieś przypadkowe okoliczności, liczba nie wzrosła, ale się zmniejszyła i to w okręgu Gdańska z 10,16, na 4,39, w Poznańskim z 40,65, na 37,62, w Bydgoskim (Bromberg) z 26,25, na 20,83. Gdyby więc wziął był 5 lat, doszedłby do przeciwnych danych od tych, które chce udowodnić, a mianowicie, że ilość rekrutów z polskiem wychowaniem szkolnem, znacznie się zmniejszyła. Panowie i cóż to za dowód, gdy się wyszukuje tylko to co jest potrzebnem, bez względu na rzetelność i sprawiedliwość. Z tego samego statystycznego rocznika, przedłożonego panu sprawozdawcy, wyjęte cyfry statystyczne i sposób przeprowadzenia dowodu są nieprawdziwe, co wykazałem dokładnie. I właśnie na nieudałym dowodzie p. referenta, cały nacisk położył p. Rauchhaupt, a nawet zawołał z emfazą: „Tu jest zacieranie językowe!“, a tryumfując mówi dalej: „Wykazaliśmy przy rekrutacyach zjawisko wzmagania się zacierań językowych“ i wtrąca, że dalsze dowody zbyteczne, gdyż „jeśli przytoczymy wam dalsze dowody, odeprzecie znowu takowe“. Naturalnie, takie dowody odpierać musimy, ponieważ są niesłuszne i zestawione tendencyjnie. Jeżelibyście Panowie jeszcze do dalszych lat wrócili — tabela zestawienia sięga do roku 1866 — znaleźlibyście znowu przeciwnie podany rezultat, nie przypadkowe i nie wyciągnięte przez referenta z ostatnich trzech lat, dla łatwiejszego ugruntowania swoich dowodów.

Pytam was Panowie, w jakim związku stoją do siebie stosunki językowe rekrutów z 100 milionami na zakupno dóbr polskich, a szczególnie jaki mają związek z tymi cyframi? Najwyżej może to mieć coś wspólnego z kwestyą szkolną. Możeby mogły wreszcie tamże mieć miejsce dowody rzetelne, ale tu są one zupełnie zbyteczne, a dla mnie i dla Panów jest to tylko dowodem, jak błahymi motywami, starano się poprzeć to przedłożenie. Czy lepszych niemacie Panowie? A jestem przekonanym, że — nie!

Panowie, w czem się objawia rzeczywisty ucisk narodowego żywiołu? zdaje mi się że w utracie głównej podstawy, ziemi. A sam p. minister wykazał, iż polskie posiadłości stopniowo do was wracają. I pocóż ten pośpiech w wywłaszczaniu dóbr polskich? Dla czego nie chcecie zaczekać, wszak to może samo się ułoży? Szkoda tych stu milionów! A można je było lepiej użyć! A jak stoi sprawa co do ilości mieszkańców? Powiadacie Panowie w motywach, że „rozchodzi się tylko o ochronę interesów niemieckiej ludności i o *przeszkodzenie zbytecznemu napływowi polskiego żywiołu w powyższych częściach kraju*“.

Radbym zapytać, skąd jest możebnym ten napływ? Wydaliliście cały zagraniczny żywioł polski, a nowemu nie dajecie przystępu. Ludność polska, może się tylko rozwinąć w sposób naturalny. Czyż możecie panowie powstrzymać taki rozwój, czy też chcecie przeciw takowemu dopuścić się nowych gwałtów? Dziś osadzacie pewną ilość niemieckich kolonistów w kraju, aby pomnożyć ilość Niemców, ale cóż będzie wtedy, gdy znów w kilka lat zwiększy się stosunkowo ludność polska? Czy wprowadzicie znów tłumy nowych, kolonistów w nasz kraj, aby wyrównać lub powiększyć liczbę Niemców? Byłoby to najodpowiedniejszem, gdybyście Panowie uchwalili ustawę, na mocy której co lat pięć, po przekonaniu się o liczebnym wzroście Polaków, sprowadzanoby do kraju odpowiednią ilość nowych, niemieckich kolonistów. Dokąd że to prowadzi, Panowie? Prawdziwie, że tylko *ad absurdum!* A będąc samo przez się absurdem, gdzieindziej zaprowadzić nie może. I jeszcze raz powtarzam: Bądźcie Panowie otwartymi i powiedzcie wprost, że nie pragniecie niczego, byle tylko nas zgermanizować i że każdy środek prowadzący do tego jest dla was świętym, bez względu na sprawiedliwość i humanitarność.

Mojem zdaniem, starożytne przysłowie *suum cuique* da się tu zastosować najlepiej. Tak Panowie, p. Rauchhaupt objaśnia to wyraźnie, mówiąc:

Mniemamy także, że to przedłożenie, jest ważnem tak w gospodarskich, jak i politycznych interesach państwa.

Zwracając się zaś do centrum rzekł:

Czyż wzrok polityczny Panów tak już dalece zamglony, iż nie widzicie jak wielkiej doniosłości dla państwa pruskiego, *jest zupełne zgiermanizowanie obu tych prowincyj, to jest Prus zachodnich i Poznańskiego?*

A zaraz potem:

Tak jest, tego my chcemy panie Kantak!

To przynajmniej powiedziane otwarcie. Ale p. Rauchhauptowi, wraz z jego nowo konserwatywnymi zasadami mogę jednak przeciwstawić pewnego męża, którego monarchiczno-konserwatywne zasady nie podlegają żadnej wątpliwości, a któremu Panowie, zarzucić nic nie jesteście w stanie. Jest nim minister Altenstein. Jest tegoż reskrypt królewskiego ministerstwa dla spraw duchownych, szkolnych i medycznych z dnia 23. grudnia 1822 do królewskiego rządu w Poznaniu. Chcę tu przytoczyć panom tylko dwa zdania, a te z pewnością wystarczą:

Co się tyczy rozszerzania języka niemieckiego przychodzimy w końcu na to, że powinniśmy naprzód wiedzieć sami, czego właściwie chcemy i co można, a mianowicie aby wpływać ogólnie, by polscy mieszkańcy tylko rozumieli po niemiecku, czy też mieć na względzie, w prawdzie powolne i nieznaczne, ale nie mniej o ile możności zupełne germanizowanie całego narodu.

Zdaniem ministra *wykonalnem i potrzebnem jest tylko pierwsze, drugie zaś (germanizacya), uznane za niewykonalne i niestosowne.*

Prawda, dzisiaj są i inne przekonania, a ja nie myślę się zwracać ku *dii minorum gentium*, ale chcę apelować tylko do księcia Bismarcka, który uważa się za wszechmocnego i sądzi, że jest w stanie zgnieść i zniszczyć prawo boskie i całej narodowości.

A to samo jest w uzasadnieniu Projektu ustawy w zdaniu:

Chodzi o to, aby utorować bardziej drogę niemieckiemu duchowi i niemieckiej oświacie.

Istotnie moi Panowie, źle jest z niemieckim duchem i niemiecką oświatą, *gdy sami Panowie składacie tak poniżające dla nich świadectwo, że dopiero pomocy i środków państwa potrzeba, aby utorować drogę niemieckiemu duchowi i niemieckiej oświacie, które same w sobie nie mają sił potrzebnych do tego.*

Słyszeliście Panowie jakie prawdziwie monarchiczno-starokonserwatywne poglądy miał jeden z najcelniejszych i najwybitniejszych konserwatystów — a do tamtych poglądów przyznawał się jeszcze Gerlach. Proszę Panów posłuchać z uwagą, ze względu choćby na męża, którego przekonania przytoczę. Jest nim były prezydent ministrów Mantenuffel. Rzecz dziejesię w r. 1850, a położenie ówczesne i powody do tego, podobne były do dzisiejszych. Poseł Hirsch wniósł swego czasu wniosek, a Izba chciała powziąć „następującą uchwałę“:

W przypuszczeniu, że królewski rząd przychyli się do tej konieczności, ze względu *na*

Rozpoczęły się straszne dnie, jakby w 1846 r. Brano w kamasze nawet takich, którzy byli wolni od rekrutacyi i wysyłano do fortec czeskich; pomiędzy innymi wzięto do wojska Jana Dobrzańskiego i Ignacego Kamińskiego. Zabierano księgi, palono i niszczono pisma. W całym kraju zabrano broń prywatną, a nawet brano noże i wiwatowe moździerze, czapki gwardyjskie, chorągwie itp. Pociągnięto mnóstwo osób przed kratki sądów, a nawet pousuwano biskupów z ich stolic, jako to ks. Józefa Wojtarowicza, biskupa tarnowskiego i ks. Wierzchlejskiego, biskupa przemyskiego, ale ten ostatni odwołał pismem i drukiem swe czyny, wypierając się wszelkiego patryotyzmu publicznie z ambony. Niemcy sami poczciwsi zżymali ramionami na tę raptowną zmianę biskupa.

. . . .

Ks. biskup Wojtarowicz, był to syn włościanina, nie chciał nic odwołać i osiadł w Krakowie na pensyi. Na jego miejsce mianowany został biskupem szlązak ks. Pukalski, który wszystko czynił z siebie, aby zawładnąć dyecezyą. We Lwowie osiadł na tronie biskupim ks. Baraniecki, który miał raczej więcej zdolności do czego innego, z powodu swej ciekawości. Zakazał zaraz duchownym ubioru polskim krojem, kapot i rogatywek, według jakich praw kanonicznych — nie jest mi wiadomo.

Przytłumiono wszelkie ruchy, przyciśnięto ducha polskiego, trwożono surowymi przepisami i prześladowaniem, słowem wróciły na nowo czasy metternichowskie.

. . . .

Po miastach i ulicach chwytano również młodzież i inne osoby, zdzierając rogatywki, lub obcinając rogi u tychże. Sam widziałem, jak forysic uchwycił jakiegoś mieszczanina w rogatywce, przyprowadził do p. oficera Müllera, a ten zerwawszy mu rogatywkę, bił go następnie harapem. Znałem jednego bardzo zacnego rodaka Chmielewskiego, którego na rozkaz gubernatora Gołuchowskiego uwięziono przez chłopów, gdy przy stole wraz ze mną herbatę pił w Wołostkowie pod Sądową Wisznią u dzierzawcy. Wyprawiony do Moskwy i wieziony przez Żółkiew, zażył strychniny i ducha wyzionął.

Spospępniał kraj, umilkł gwar po miastach, a biurokracja podnosiła głowę do góry. Nastąpiły czasy wielkiego ucisku. Roku 1849 rewolucya węgierska. Nasi jenerałowie dowodzą: Bem, Dębiński, Wysocki. Węgrzy bili się jak lwy i zwyciężali. Dnia 16 kwietnia Węgry były już wolne. Rada wojenna postanowiła, aby Perczel poszedł do Kroacyi, Klapka do Wiednia, Dębiński do Polski, Bem do Ukrainy; obwołano rzeczpospolitą węgierską, do tego jednak nie przyszło. Aż tu rozchodzi się straszny okrzyk: Görgey sprzedał Węgry, gdy Moskwa wkroczyła przez Galicyę. Görgey składa pod Vilagos broń w 30.000, Węgry leżą u stóp Austryi i Moskwy. Co się tam działo potem, — czytaj dzieje.

Widziałem te masy żołdactwa moskiewskiego, w szynelach, nawet bez spodni, tylko w gaciach, dźwigających karabiny. Był to żołnierz znędzniały, skurczony, ledwo się posuwający do Węgier. Gdy dochodził do miast, musiał jednak podnosić głowę i wykrzykiwać: Urra! urra! hałagigi, hi ha! — Codziennie ciągła ta ćma jak szarańcza. Znajdowało się między tymi hufcami nie mało Polaków z Korony, z Litwy. Kilkunastu z nich spowiadałem, a po komunii do siebie zaprosiłem na górę i gościłem. Opowiadałem im o naszej, a oni o swojej niedoli. Siedm lat nie byli spowiadani i nie mieli kapelana. Wszyscy mieli wielką nadzieję w rewolucyi węgierskiej. „Gdyby choć jedną korzystną batalię stoczono, przechodzić będziem hurmem“. „O gdyby się Węgrzy trzymali!“ itd. Pobłogosławiłem ich, pocieszyłem i poszli. Że między tą czernią moskiewską zjawiały się i duchy śmielsze, myślące nawet w Moskalach, niech posłuży za dowód ten wypadek:

W czasie przechodu tych wojsk i hord umieszczono dwóch kapitanów we dworze —

zabezpieczenie spokoju i bezpieczeństwa niemieckich granic kraju jako też na rozwój niemieckiego elementu w prowincyi Poznaniu, udziela Izba swoje zezwolenie na wcielenie do związku niemieckiego prowincyi Poznania, nie należącej do Niemiec.

Widzicie panowie, że tak samo jak dziś, chodziło i wtedy o spokój i bezpieczeństwo tej prowincyi, w celu większego rozwoju niemieckiego żywiołu.

Cóż odpowiedział na to prezydent ministrów Manntauffel?

Wniosek postawiony przez mowcę, rozpada się na dwie części; pierwsza traktuje o tem, że rząd powinien dbać o spokój i porządek w tej prowincyi. Panowie, to jest obowiązkiem rządu, czy wniosek taki postawiono czy nie. (Zadowolenie). Drugi wniosek zdąża do tego, *aby rząd dbał o rozszerzanie narodowości niemieckiej. Panowie, to jest zadanie, którego rząd nie może się podjąć.* — (Zadowolenie). — *Jeżeli narodowość niemiecka potrzebuje ochrony i mięszania się w te sprawy władz, aby nabrać znaczenia, wtedy nie ma ona przed sobą przyszłości.* Jestem przekonany że wewnętrzna siła niemieckiego żywiołu drzemie za silnie, jak to nas uczy historya, aby nabrała znaczenia i zdążyła tam, dokąd ją wzywa przeznaczenie. Dla tego sądzę żeby zostawić tę sprawę czasowi i samej sobie, a nie chcieć tu rządzić i rozgoryczać narodowości, którą przynajmniej należy oszczędzać. (Żywy oklaski).

Czyż nie można tego powtórzyć i dziś słowo w słowo? Czyż upadła już niemiecka narodowość tak dalece, że nic nie wstanie uczynić bez pomocy państwa o własnej wewnętrznej sile?

Wszak nie z okazyi polskiej debaty wyrzekł p. minister Puttkamer tego roku na posiedzeniu dnia 6. lutego:

Panowie, nadto jest silny rząd pruski, by z przysługujących mu ustawą praw korzystał z całą surowością i nie mógł postępować łagodnie i pojednawczo.

Przystępuję teraz do stylizacyi paragrafów, przy których dołożę starań, by były najzwięźlejszym. § 4. brzmi:

Wszyscy pruscy poddani są równi w obec prawa.

Następują poniżej podobne dodatki:

Praw pierwszeństwa stanu nie uwzględnia się. Publiczne urzęda są dla wszystkich odpowiednio uzdolnionych dostępne, z zastrzeżeniem przez ustawę określonych warunków.

Nie moją jest rzeczą kruszyć kopie, gdy Panowie sami wykraczacie przeciw ustawom przez siebie uchwalonym, chociaż zwracałem uwagę poprzednich mowców, iż naruszają ustawę.

I § 3. niemieckiego ustawodawstwa jest naruszonym, a powinien być bezwarunkowo dokładniejszym, który brzmi:

„Żaden Niemiec" —

co powinno znaczyć: żaden niemiecki poddany, to jedyne bowiem znaczenie może mieć ten paragraf —

„nie może być przez władzę swej ojczyzny lub władzę innego państwa związkowego w korzystaniu z tego prawa ograniczony".

Moi Panowie, wszak to jest ograniczeniem, gdy się wyłącza pewną klasą ludności, bo całą narodowość, a natomiast inną obdarza się wyłącznymi przywilejami do nabywania ziemi znajdującej się w ręku zwierzchności.

Ale róbcie sobie Panowie co chcecie z formą stylistyczną — zupełnie to wam pozostawiam; jest tu jednak rzecz, która i do mnie należy, a której pominąć nie mogę, bo dotyczy naszych narodowych praw. Panowie, czytaliście w sprawozdaniu, że sprawa sprzeciwu przeciw temu projektowi ustawy wraz z naszymi prawami poruszoną została, a p. referent odpowiednio do sprawozdania, dostarczył Panom niektórych motywów i dokumentów dotyczących tej sprawy, które nawet tak zbrakowane wystarczą.

Znaczy to, że Polakom zastrzega się:

une représentation et des institutions nationales, réglées d'aprés le mode d'existence politique, que chacun des gouvernementes, auxquels ils appartiennent, jugera utile et convenable de leur accorder.

A dalej znaczy:

Polacy, którzy stosunkowo stanowią znaczną część podatkujących poddanych, powinni korzystać z urządzeń regulujących stosunki obywatelskie, *a które powinny ochraniać ich narodowość* ale tylko z urządzeń takich, które rząd uzna za odpowiednie.

Panowie, my zgadzamy się na „formy regulujące stosunki obywatelskie, które rząd uzna za dobre", jako też „que chacun des gouvernements jugera utile et convenable de leur accorder". Ale wówczas Panowie nie powinniście stawać w sprzeczności, lecz owszem uznać i zapewnić nam „une représentation et des institutions nationales" o „zachowanie naszej narodowości".

Sam pan referent przytoczył wypowiedziane przez Jego Królewską Mość zdanie:

Macie ojczyznę, a z nią dowód mego poważania za wasze przywiązanie do tejże.

Panowie, Jego Królewska Mość wyrzekł: poważam Polaków za przywiązanie ich do ojczyzny, pomimo tego, iż Polacy wraz z Napoleonem walczyli przeciw Prusom za swą ojczyznę; tu objawiła się tylko miłość do ich polskiej ojczyzny. Z tego bezpośrednio wypływa:

Zostaniecie wcieleni do mej monarchii, *nie potrzebując zapierać się swej narodowości.*

Pan referent wspomina w swym elaboracie o „wcieleniu" sądząc, że wyraz „wcielenie" wystarcza już do zatarcia wszelkich różnic i właściwości. Nie, tak nie jest Panowie. Zwracam uwagę Panów na zapatrywania prawne pruskiego koronnego syndykatu — jedną z najbardziej pruskich władz państwowych — w sprawie szlezwigsko-holsteińskiej, wypowiedziane na podstawie najwyższego rozporządzenia z 14. grudnia 1864. Na stronie 218, znachodzimy dosłownie:

Wyraz „wcielenie" nie dotyczy koniecznie takiego związku z innem ciałem państwa, który *wszystkie* tegoż publiczne instytucye wlicza do całości państwa, ale też oznacza szczególnie istotną unię realną, trwające zjednoczenie pod jednem berłem, z prawem dziedziczenia ustawą określonem.

Dalej następują przykłady samoistnych a niewcielonych części monarchii.

Panowie, jest to najświętszą prawdą, że ta ustawa nie wydana w celu ochrony naszej narodowości, której tylko szkodzić może, co jest jej właściwem zadaniem.

W tym względzie sprzeciwia się królewskim przyrzeczeniom i traktatom międzynarodowym. Pan kanclerz państwa mówi zapewnie o tych traktatach i przyrzeczeniach:

Przyrzeczenia te stały się nieobowiązujące i muszą być uznane jako niebyłe skutkiem zachowania się mieszkańców tych prowincyj.

Może być i takie zapatrywanie p. prezydenta ministrów, a niestety ma on siłę i przemoc po temu, by przeprowadzić podobne zapatrywania i zniszczyć nasze cechy narodowe. Ja tylko dotąd pojąć tego nie mogę, jak może Jego Królewska Mość uważać się za zwolnionego, od uroczystych przyrzeczeń swego ojca. Ja zaś nic nie słyszałem o tem, by międzynarodowy traktat wiedeński przestał obowiązywać Prusy. Zaledwie kilka lat temu, jak sam kanclerz państwa powoływał się na te układy w obec Rosyi, gdy chodziło o żeglugę na Niemnie. Radbym słyszeć, czy książe kanclerz uznałby te układy za nieistniejące, gdyby zostały choć w części naruszone.

Co się zaś tyczy uroczystych królewskich przyrzeczeń, byłoby dla mnie bardzo pożądanem, gdyby p. sprawozdawca przedłożył był Izbie dwa tylko jeszcze dokumenta. Jeden wskazuje, jak uważali swojego czasu monarchowie rozbiór Polski między trójsprzymierzonych. Akt ten jest z daty 16. września 1815, a ja zrobiłem wyciąg z urzędowego pisma w Bydgószcz (Bromberg), który brzmi:

Monarchowie rozstrzygający losy Polski, kierowali się wszędzie zasadą, *że wielka rodzina skutkiem naprężenia politycznych stosunków, została rozdzielioną między sprzymierzeńców.*

Ażeby związek rodzinny tego szczepu trwał dalej pomimo rozmaitych urzędów, jest wolą tych monarchów.

A więc sami monarchowie, uważali nas za jeden naród pod różnymi rządami. Uroczyste królewskie przyrzeczenie, zobowiązanie, na które pan kanclerz państwa nie uznał za stosowne odwołać się ze względu na nas, brzmi:

My Fryderyk Wilhelm III. z Bożej łaski król pruski etc. etc. Przeczytawszy ugodę wraz z jej obowiązkami za zgodną z naszą wolą uznaliśmy i przyjęli, zatwierdzili i ratyfikowali, którą niniejszem *w naszem i naszych następców imieniu* przyjmujemy, uznajemy i ratyfikujemy, i przyrzekamy *naszem królewskiem słowem*, że takowa wykonywaną będzie dokładnie i wiernie. (Słuchajcie!)

A książe kanclerz występuje przeciw podobnym przyrzeczeniom, zaprzecza ich wartość dla tych, którym je uczyniono.

Zapomina o prezydencie Zerbonim, który miał wielkie dobra w południowych Prusiech, a więc za granicą, o księciu Hardenbergu i jego życzeniu późniejszego cofnięcia granicy wschodniej ku Wiśle i życzeniu, by:

między polską ludnością *szerzyć pruską propagandę w okolicach graniczących z Królestwem Polskiem,* po części narzucać mowę nowo przyłączonym poddanym Polakom, co też książe Hardenberg doradzał wówczas Królowi swemu i Panu.

Panowie, ja to wszystko uważam za znieważenie pamięci prezydenta i księcia Hardenberga, uważam za najwyższą obrazę majestatu chwalebnej pamięci króla, jeżeli on pozwolił się kierować podobnym wpływom i pobudkom. Uważam to jako niepodobne do wiary, a to też jest niepojętem, że nikt dotąd nie wiedział, jakie niespodzianki dla całego świata, prezydent ministrów, książe Bismark zamierza urządzić.

Zaproszony z ks. kanonikiem na obiad, przyjechaliśmy i siedliśmy do stołu z tymi wojakami. Rozpoczęła się rozmowa o wypadkach na Węgrzech, o waleczności Bema, Wysockiego, Dębińskiego, Görgeya, o dzielności armii węgierskiej. Jeden z tych kapitanów, zmoskwiczony Polak, pod niebo wynosił armię moskiewską i jenerałów swoich, a psy wieszał na Bemie i naszych „buntowszczykach".

Dziwiło nas to, że z tak niegdyś wielkiej rodziny (bo z takiej pochodził, z której hetmanili naszym hufcom jego przodkowie) taki nastojaszczy Moskal się wyrobił i taki zdrajca. A był to magnacik K. Drugi zaś Moskal czystej krwi, nie mówił nic, tylko zajadał i duszę miał w pieczeni. Ot myślę sobie — Moskal głodny, ta żre. Po skończonym bankiecie przy filiżance kawy otwierają się usta Moskalowi, gdy K. wyszedł na dwór. — „Ot kak! Arystokrat! Lach! Carowi się zaprzedał i chwali jenerałów, których u nas brak, a wojsko, dzicz. On powiada, że Węgry będą pobici, ale ja wątpię, jeśli się tak będą trzymać jak dotąd. Bo oni wiedzą za co się biją, a nasze sołdaty nie. Ot bydło — gonią to i idzie My się wszędzie powinni bić i łączyć z tymi co się biją za wolność." Nakoniec scharakteryzował całego cara w okropny sposób, żeśmy aż struchleli i zapomnieli języka w gębie. A on tak dalej łamanym językiem: „Wy się dziwicie, że słyszycie od Rosyanina te słowa. O nie wszyscy tacy jak wy myślicie, bo i u nas myślą i czekają. A czy znają oni Bakunina? Czytałem co pisze i co mówił w Pradze. Otóż takich jak Bakunin jest nas wielu, bo ja jestem z korpusu kadetów w Moskwie. My znamy wsio co się dzieje i czytamy zakazane książki.

— A to jak, kiedy tak ostro pilnują i tak surowo karzą?

— Ot — powiada — dzięgi wsio zrobią w Rosyi. Tamby i cara sprzedano za dzięgi.

Wszedł K., a rosyanin umilkł i zaczął mówić o czem innem.

Po upadku rewolucyi węgierskiej widziałem te same hordy wracające z łupem zdobytym, a raczej zrabowanym w Węgrzech. Konie, woły, owce, świnie, meble, srebro, złoto, klejnoty, a nawet dzieci wieźli do moskiewskich krajów z Węgier zniszczonych. Aż się serce krajało na ten widok.

. . . .

Zostawiam opowiadanie wypadków historyi, a tu tylko chcę wymienić niektóre, charakteryzujące wiek XIX. W Galicyi ruch prasy prawie zupełnie usunięta. Jan Dobrzański za Gazetę narodową wzięty jak wyżej powiedziałem w kamasze od żony i dzieci, Rozumiłowski za Kurjerka i inni. Mnóstwo ludzi pozbawiono chleba, pousuwano od profesury, od urzędów, od probostw i od wyświęcenia kapłańskiego. W Wielkopolsce Niemcy w straszny sposób się znęcali po upadku ruchu zbrojnego, chociaż go rząd sam aprobował. W Węgrzech Heinau strasznie gospodarował. Wieszano jenerałów, ministra Batianiego, rozstrzelano Woronieckiego i kilku księży. Bito kijami pastorów i skasowanych poprzednio oficerów na prostych żołnierzy. Uwięziono i okuto w kajdany mnóstwo kanoników i proboszczów. Tych mianowicie Polaków, którzy się schronili do Turcyi, żądała Moskwa wydania, lecz Turcya się temu oparła. Tysiące idą na tułactwo.

. . . .

Widziałem sam w Sądowej Wiszni w pułku huzarów szeregowca, przychodzącego do kościoła, a był to człowiek nie młody i otyły. Dowiedziałem się że to baron Etvös, obywatel ziemski, za karę wzięty do wojska. Widziano wówczas mnóstwo takich szeregowców, a była to sama arystokracya węgierska.

Do Moskali przy wymarszu dołączyła się cholera, która wiele zabrała ofiar z miast i ze wsiów w Węgrzech i w Galicyi.

(C. d. n.)

Co się zaś tyczy zachowania się ludności polskiej, muszę szerzej o tem pomówić, gdyż w tym kierunku słyszymy ciągłe zarzuty tak od pp. ministrów, jak i od pojedynczych członków Izby. Najnowsze czasy nie dają wcale powodu do wprowadzania ustaw przeciwko nam, a tylko schodzicie Panowie do przeszłości, do roku 1830, 1848 i 1863, w których to latach mieszczą się nasze przewinienia.

W roku 1830 była walka z Rosyą. Panowie, na widok cierpiących braci, szli ochotnicy do Grecyi, Włoch, Szlezwig-Holstein, a że Polacy *członkowie jednej rodziny* przeszli granicę, pomiędzy którymi wedle zapatrywań sprzymierzonych monarchów, miał trwać dalej *„rodzinny związek narodowy“*, a że ci przeszli granicę by walczyć wspólnie z swoimi braćmi, to się nazywa występkiem! Przy głównym odwachu w Poznaniu ich portrety i nazwiska wisiały na szubienicach, a gdy powrócili do swej zagrody, zapełniono nimi kazamaty w twierdzach, innych oddano w rekruty, a ich mienie skonfiskowano lub zniewolono ich do płacenia wysokich grzywien pieniężnych. Zaprawdę Panowie, gdy podobny czyn, do którego byli zupełnie uprawnieni, uważamy u innych narodów za słuszny i szlachetny, dla moich ziomków ściągnął on tyle kar i cierpień — że Panowie nie macie już prawa wyrzucać nam roku 1830. (Bardzo słusznie! ze strony Polaków).

Przechodzę teraz do roku 1848.

Panowie z dalszych okolic jak z Hessen-Kassel, Hannover, Holstein i t. p. którzy tak się radują z ustaw nam przeciwnych, uderzają na nas, odbywają w tym celu posiedzenia i za nasz ucisk wysełają księciu Bismarkowi dziękczynne adresa, a którym stosunki nasze są zupełnie obce — ci co to wszystkiemu pochodzącemu od rządu i od członków tej Izby wrogo dla nas usposobionych — ślepo i bezwarunkowo wierzą — tych właśnie Panów proszę, by zechcieli posłuchać mnie, co działo się u nas w r. 1848, kto winien temu wszystkiemu, a gdy wysłuchacie Panowie, żądam od was rzetelnego sądu, czy mam słuszność lub nie, gdy mówię: nie my tu winni, nie polska ludność. Od was Panowie żądam sądu w tym względzie gdyż wierzę w słuszność naszej sprawy.

W roku 1848, wystąpiliśmy razem w Berlinie, prezydyum policyi rozdało nam broń i wyznaczono nam stanowisko do strzeżenia. Tworzyliśmy osobny korpus i pełnili służbę pod wodzą przez nas wybranych ludzi, a odznaką naszą były kokardy o polskich barwach. W czternaście dni, za zezwoleniem komendanta, udaliśmy się uzbrojeni z polskiemi kokardami in corpore do kraju, aby służyć własnej ojczyźnie. W obecności komenderującego jenerała i władz, Poznań przyjął nas z całą uroczystością. Powołano polskich emigrantów; ci powróciwszy z Francyi w oczach komendanta, musztrowali polskich żołnierzy na publicznych placach w poznańskiej twierdzy. Municypalne władze ustąpiły odpowiednich lokali w ratuszu do obrad polskiemu komitetowi narodowemu, który się wówczas utworzył, niemieccy mieszkańcy miasta wydawali proklamacye braterstwa i t. d., przysłano generała Willisena jako królewskiego komisarza, w celu organizacyi i wykształcenia wojskowego polskich oddziałów wojskowych, tudzież zawarto konwencyę z polskim komitetem narodowym, która miała stanowić o uzbrojeniu. Ale komenderujący generał Colomb, czując się dość silnym, zerwał z komisarzem królewskim Willisenem zawartą konwencyą. Mógł on mieć tajemne instrukcye z wojskowego gabinetu, któremi się kierował, podczas gdy urzędowy komisarz królewski, otrzymywał z ministerstwa swoje rozkazy i wskazówki. Wtedy musiało przyjść do starcia — starcie to było pierwszem dziełem, ochłoniętej z pierwszego strachu reakcyi!

W powtórnie wznowionych kłamliwych i haniebnych sprawozdaniach dziennikarskich — mam tu na myśli „Norddeutsche Allgemeine Zeitung“, gdyż inne pisma ją naśladowały — z owych czasów, które godne są tylko Niemców północnych, o okrucieństwach i obrzydliwościach, jakich się mieli dopuszczać Polacy, mógłbym Panom wskazać te rozbójnicze bandy, które niosły zniszczenie i popełniały nadużycia w polskich dworach, zachowanie się pomorskiej „landwery“, jako też postępowanie następcy Willisena, a królewskiego komisarza. generała von Pfuel i wielu innych, a jemu podobnych.

Ale zostawmy te wzajemne oskarzania się. Pominąć tylko nie mogę postępowania tak wysokie stanowisko zajmującego męża, generała piechoty p. von Pfuel. Ten właśnie pan, wypuszczając z twierdzy polskich jeńców wojennych, kazał lapisować każdemu z nich jedno ucho i jedną rękę, a później strzydz każdemu pół głowy. W celu dokładnego osądzenia wypadków z r. 1848 i usunięcia wszelkiej wątpliwości o naszych ówczesnych stosunkach, jak też w celu uchronienia się od ciągłego przypominania nam r. 1848 i zwalania na nas odpowiedzialności, a w końcu byście Panowie nie mogli opierać na tym roku wszelkich ustaw wyjątkowych, przeciwko nam skierowanych i takowe usprawiedliwiać, muszę Panom jeszcze przytoczyć niektóre rzeczy. Oto jest pierwszy krok publicznego powstania:

> Wybiła godzina zmartwychwstania ludów, a od Renu do Prosny, rozbrzmiewa echem jedno tylko wołanie: „wolność!“ Duch Boży zstąpił na ziemię i roznosi to wołanie między narody, które jednoczy siłą tego głosu.
>
> Polacy! Wreszcie i dla was nadszedł dzień wolności, dzień naprawy tego wielkiego występku w historyi, którego na was się dopuszczono — koniec tego długiego pasma nieszczęść —

i tam dalej. A dalej brzmi:

> Więzienia stoją otworem, a waszych braci zakutych w kajdany, wolnych wam wracamy. Wy to uznajecie i przyznajecie nam braterskie prawa. Bracia! uderzmy wspólnie, a co my uczynimy, uczyni cały wolny niemiecki naród, który już stargał związki książąt z dziczą azyatycką, a teraz gotów do walki światła z ciemnością, gotów walczyć obok was i swoje czarno-czerwono-złote sztandary podnieść wraz z waszymi.

I któż wydał tę odezwę, kto ją podpisał? Abicht, Hermann, Bielefeld, Emil Brachvogel, Cronsaz, Hepke, Fr. Traeger, Jerzy Treppmacher, E. Vanselow, Wehr.

Drugim wysoce interesującym dokumentem jest pismo komendy piątej brygady żandarmów Nr. 561, datowane: Poznań dnia 28. marca 1848 r. Natzmera:

> Poleca się surowo i stanowczo pojedynczym wachmistrzom i żandarmom królewskiej 5. brygady żandarmów, od tej chwili rozpocząć swą służbę i pod grozą zasuspendowania utrzymywać spokój i porządek spokojnem i łagodnem obejściem się z ludnością niemiecką i polską, *a jak najmocniej popierać usiłowania i zarządzenia wszystkich Panów Komisarzy, składających polski komitet narodowy, co do przywrócenia porządku i utrzymania w tymże tak miasta jakoteż i kraju.*
>
> Spodziewam się, iż powstrzymacie [illegible] wów nieodpowiednich i namiętnych [illegible] obecnych stosunków, a uniknięcie te[illegible] kiego, coby spowodować mogło rozdw[illegible] lub ekscesa. *Dowiedziałem się niestety, że właśnie sami żandarmi nierozstropnemi mowami dali powód do nieporządków i awantur;* jeśli jeszcze dowiem się o tem, każdego zasuspenduję urzędownie. *Zadaniem naszem jest wspieranie zwierzchności w utrzymaniu spokoju i porządku,* a teraz szczególnie musimy mieć to tylko na oku. *Narodowy polski komitet stara się właśnie o spokój i porządek w miastach i w kraju, czem ułatwia wachmistrzom żandarmów pełnienie służby bez przeszkody.* Spodziewam się przeto, że każdy dołoży usilnych starań, by spokojnemi i łagodnemi słowy porządek utrzymać, *a polecenia polskich komisarzy komitetu narodowego każdy wypełni z całą ścisłością.*
>
> podpisano: von Natzmer.

Ostatnim dokumentem, który uważam za konieczne Panom przedłożyć, są wspólne obrady Wydziału komitetu narodowego, który przemienił się w najwyższą miejscową komisyę z p. nadprezydentem na czele, celem narodowej reorganizacyi Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Obrady te odbyły się 29. marca w Poznaniu, po zaproszeniu do swego grona krajowego radcę sądu p. Boy i nadburmistrza p. Naumann, by ci wzięli udział w obradach wydziału i wsparli takowy swem doświadczeniem i wiedzą.

A o cóż chodzi w tem zgromadzeniu? Przytoczę Panom niektóre ustępy z urzędowego protokołu obrad, podpisanego przez Potworowskiego, Prusinowskiego, Libelta, A. Brodowskiego, Szumana, M. Mielżyńskiego, Kraszewskiego, Boy'a a także przez Beurmanna.

> Na oświadczenie p. nadprezydenta, iż mu się najodpowiedniejszym środkiem wydaje przedłożenie Jego Królewskiej Mości porządnie opracowanego planu reorganizacyi, zauważano, że wobec teraźniejszych tak jawnie wywołanych anormalnych stosunków w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, niedługo przyjdzie chwycić się sprężystych środków, nie tylko dla tego, by ujść grożącemu niebezpieczeństwu, ale aby ułatwić rozwiązanie reorganizacyi w drodze pokojowej. Zaproponowano tu następujące środki:
>
> Ze względu na utworzenie polskiej siły zbrojnej, zapatrywania komisyi są tego rodzaju, ażeby korpus armii na razie co do liczby i urządzenia utworzony był na sposób pruski, do organizacyi którego ma się uprosić generała Willisena jako wojskowego komisarza, który w porozumieniu z mającym być zamianowanym cywilnym komisarzem reorganizacyjnym, zajmie się utworzeniem i uzbrojeniem korpusu.
>
> Ten polski korpus armii ma się utworzyć z mieszkańców Wielkiego Księstwa i takich ochotników, którzy są sprawie polskiej przychylni. Oficerowie muszą władać polskim językiem, a nadgenerał musi być Polakiem. Korpus ten, który ma mieć polskie sztandary i odznaki, ma być utrzymywany i opłacany z ogólnego funduszu i t. d.

I tak pod przewodnictwem nadprezydenta, w obecności zaproszonych panów, nadburmistrza i krajowego radcy sądu, traktują się sprawy o narodowej reorganizacyi. Czyż mogliśmy niewierzyć, że tu zanosi się na wojnę z Rosyą, w której ręka w rękę pójdziemy z pruskim rządem? Ze mniemanie to

---

MOC WIARY.*)

(Ku pamięci 38-letniej rocznicy).

Biją dzwony na dzwonnicy,
W mieście całem trwoga!
Tentent, wrzawa na ulicy:
„Do broni załoga!“

„Idzie wojsko od Mogilna,
„Idzie od Kruchowa.
„Dziś zaczepka nieomylna,
„Żono bywaj zdrowa!“

Bogu, męża kosyniera
Małżonka poleca.
Już się szczupły hufiec zbiera,
Zapał w sobie wznieca.

Naprzód pół szwadronu koni
Co nam pozostało;
Dalej młódź do palnej broni,
I tej było mało.

Na odwodzie rozstawieni
Kosyniery w mieście,
W ruchach boju niećwiczeni,
Liczba ich, ze dwieście.

Wyszli, trakty obsadzili
I przedmieścia chaty,
A krzyk z wieży w tejże chwili:
„Od Gniezna armaty!

„I piechota ku nam spieszy,
„Dragony, huzary“. —
Boże! naszych kto pocieszy?
Dodaj męztwa, wiary!

Miasto w koło otoczone
Bronić się stanowi.
Już rusznice wymierzone,
„Bracia! bądźcie zdrowi!“

Słońce wysoko się wzbiło,
Rozsiewa upały,
Tedy wojsko uderzyło,
Pierwsze padły strzały.

Walcząc zwolna ustępuje
Garstka niećwiczona,
Od krwi, której nie żałuje,
Ziemia już czerwona.

Z tyłu ot! huki zagrzmiały,
Jeden, drugi — pada.
Ha! to *wy!* to *wasze* strzały!
Ha! to *wasza* zdrada!

Z okien bracia obłudnicy
Biją na obrońców.
Z domów rażą ich w ulicy
I od miasta końców.

Nasi z rynku się cofają
Wśród zdrady zawodu.
Najezdnicy zabiegają
Z boku i od przodu.

Tedy rozejm ogłoszono;
Wszystkie wojska siły
Powracając swoją stroną,
Od nas odstąpiły.

A gdy nasi z dala, z bliska
Poległych zbierają;
Z domów i z pobojowiska
Rannych sprowadzają,

Tedy przeciwko mordercom
Nasza wiara cała,
Ulgę czyniąc swoim sercom
Już zemstą zawrzała.

było powszechnem, niech Panom posłużą za dowód mowy ówczesnych niemieckich posłów z Poznania pp. Treskowa i Kennemanna. Niedawno przecież w czasie polskiej debaty powiedział wyraźnie p. Treskow:

> Rok 1848 był w Poznaniu krótkiem zbrataniem Polaków i Niemców, którzy pragnęli ostrza swej broni zwrócić przeciw Rosyi.

A poseł Kennemann w czasie posiedzenia dnia 23. lutego powiedział:

> W 1848 roku był ogromny napływ Polaków; kilku oficerów polskich mieszkało u mnie — (sykanie) — tak jest Panowie, przyjąłem ich nawet bardzo uprzejmie, za co byli mi wdzięczni — ale uskarzali się bardzo na tych Panów, którzy ich tu powołali. Twierdzili bowiem, iż ich zapewniano o sformowanych legionach, że wskrzesiwszy w Królestwie powstanie, cała pruska armia uderzy równocześnie na Warszawę. (Kantak woła: tak powinno było się stać!)

Ze się tak niestało — dodał p. Kennemann — nie moja w tem wina.

Otóż są ze wszystkich stron dowody, co właściwie uczynić zamierzano. Wszyscy sądzili, że do wojny przyjść musi, a to skutkiem rewolucyi w Prusiech, której Rosya nie ścierpi i przeciw niej wystąpi. Ale gdy car Mikołaj wydał w tej mierze uspokajające objaśnienia, a reakcya się wzmogła, rozdmuchano narodowe namiętności pewnej części niemiecko-żydowskiej ludności, zwrócono się przeciwko nam, a reakcya święciła pierwszy krwawy tryumf w naszym kraju.

Może nam raczycie Panowie uwierzyć, że jeśli kogo zawiedziono, to tylko my byli tymi zawiedzionymi, a jeśli cięży na kim wina za to krwawe starcie, to tylko na rządzie za jego dwulicowość.

A teraz Panowie następuje rok ostatni 1863; jest on o wiele bliższym, dla tego niedługo przy nim się zatrzymam. Panowie, wielu jest między wami, którzy pamiętają tamtoczesne wypadki i rozprawy w tej Izbie przeprowadzone. W roku 1863 także nie chodziło o Prusy. Wspieraliśmy wtedy naszych braci w ich rozpaczliwej walce przeciw rządowi rosyjskiemu bronią, pieniądzmi, a nawet krwią własną, idąc walczyć wraz z nimi.

Nie możecie nam wzbronić prawa dobrowolnego rozporządzania naszą krwią i mieniem. Ze nikt nie myślał o walce z Prusami, na to mamy dowody, niedawno głoszone w dziennikach świadectwa Karola Blind w Londynie i jeszcze ważniejsze świadectwa p. dr. Luciusa, ministra rolnictwa, w którego słowa wątpić niezechcecie Panowie. Oto co mówi p. minister:

> Jestto udowodnionem aktami, że w roku 1863 wyszłe z Warszawy odezwy zawierały dokładne wskazówki dla Polaków będących za granicą, a Polakom będącym pod panowaniem pruskiem i austryackiem wyraźnie polecono, by się wstrzymali od dalszego ruchu, gdyż jest koniecznem zkoncentrowanie całej siły w Rosyi.

To są słowa p. ministra. Czyż mam się jeszcze powoływać na Waldecka, który nazwał ówczesne postępowanie z nami rządu państwowego „prowencyjną sprawiedliwością“? A spytajcie się Panowie posła p. dr. Gneista, sławnego obrońcy w ówczesnym procesie polskim, co on utrzymywał i sądził o tym zarzucie królewskiego rządu państwa. zdrady stanu lub kraju. On właśnie wycisnął temu procesowi rumieniec wstydu.

Panowie, i cóż wreszcie zostaje z tych wszystkich lat jak 1830, 1848 i 1863, które nam ciągle wypominacie? Nic i jeszcze raz nic! I cóż się stało od r. 1863? Panowie, Polacy a rodacy moi przelewali swą krew za Prusy naprzód w Schleswig-Holstein, potem w r. 1866; w czasie, gdy p. kanclerz państwa jeszcze jako hrabia Bismarck tworzył węgierski legion z austryackich poddanych przeciwko ich władcom, w czasie gdy hrabia Bismarck wydał proklamacyą do narodu czeskiego, który miał oderwać się wtedy od państwa, w którego skład wchodził, rodacy moi walczyli za Prusy pod Nachod, a potem znów w r. 1870 tak samo. A każde pole walki świadczyło o ich odwadze i dzielności.

W Ojczyźnie naszej płaciliśmy zawsze podatki i spełniali obowiązki względem państwa. Czy też możecie Panowie, lub którykolwiek z pp. posłów z polskich prowincyj, a nawet królewski rząd państwowy wskazać nam choćby ślad najmniejszy zdrady stanu lub kraju, a choćby jakichkolwiek czynów rewolucyjnych, choćby jakikolwiek ślad tajemniczych związków? Wciskacie się Panowie w nasze myśli, w uczucia serc naszych, w nasze modlitwy, aby wyśledzić nasze nadzieje, dla urzeczywistnienia których, nic uczynić nie możemy i nie czynimy.

To, że kochamy naszą narodowość, nasze wielkie historyczne wspomnienia, naszą mowę i religię, to być inaczej nie może. A jednak to właśnie poczytujecie nam za zbrodnię. Panowie, to zaś co czynimy, wypływa z tej właśnie miłości, a czynimy to wszystko otwarcie, bo mamy prawo do tego. A to nazywacie agitacyą niebezpieczną dla państwa, którą uzasadniacie konieczność ustaw przeciwko nam skierowanych. Panowie, czyż jest w tem jeszcze co innego, prócz korzystania z przysługujących nam praw obywatelskich? Tak Panowie, korzystamy z prawa stowarzyszeń i zgromadzeń, tworzymy Stowarzyszenia gospodarskie, ku wspieraniu oficyalistów prywatnych, stowarzyszenia naukowe i przemysłowe, czytelnie ludowe, Towarzystwa zaliczkowe; pracujemy nad naszym moralnym i materyalnym rozwojem. Rząd zamiast się cieszyć, że udaliśmy się na drogę pokojowego rozwoju i organicznej pracy, na każdym kroku stawia nam przeszkody, a władze miejscowe uważają za obowiązek, podejrzewać każdy choćby najniewinniejszy nasz krok. A tu w samem centrum, wobec władz naczelnych, wobec wszechmocnego kanclerza, dzieje się to samo. Panowie, doszło już do tego, że p. minister rolnictwa w naszej obecności odpowiedział posłowi p. Tiedemannowi (Labischin) temi słowy: Cios jest najlepszą ochroną, tak dalece, że p. minister skarbu mówi o krwi i żelazie, do których uniknięcia ochronienia ma się przyczynić tych 100 milionów, tak wreszcie dalece, że przewódca konserwatystów p. Rauchhaupt, uważa ten projekt ustawy za czyn nakazany względami politycznymi i obyczajnymi. Panowie, to nie są słowa pokoju, to nie jest droga do jedności. Przyjęcie projektu ustawy, nie przyniesie wam spodziewanych skutków, — ale pewnem jest, że odstręczy od was i rozgoryczy dla was polskie serca.

Cierpieliśmy wiele, ale miłości, którą Bóg zaszczepił w serca nasze, miłości narodowej i naszej wiary, nigdy się nie wyprzemy. Możecie uczynić nas żebrakami i Helotami, ale nie jesteście wstanie wydrzeć nam z piersi tę miłość żadnym uciskiem moralnym czy materyalnym, a tem bardziej 100 milionami pożyczki tego projektu ustawy.

Panowie, kościół i narodowość to nasza świętość, a czem bardziej będziecie starać się je zniszczyć, tem będą dla nas świętszemi. Wobec narad, jakie miały miejsce w komisyi, niespodziewam się niczego, ale pełniąc mój obowiązek, jaki wkłada na mnie moje stanowisko, odzywam się raz jeszcze: Panowie, cofnijcie tę ustawę i lepiej zasiewajcie w naszym kraju pokój niż rozgoryczenie.

(Zywe oklaski ze strony Polaków).

Czarne chmury na Mazurach.

I znowu jak duch Banka zaczynają się czy to w halucynacyjnych fantazyach, czy też w rzeczywistości pokazywać krwią woniejące mary pomiędzy ludem mazurskim. O sprawie tej pisaliśmy już w 4. Nrze *Strażnicy pol.* pod tytułem „Caveant consules, czyli jaki zasiew taki plon“. Otóż i dziś nie wiele już mielibyśmy pod tym względem do dodania, gdybyśmy tych nowych objawów, jakie się z górą pół roku coraz uporniej pojawiają, nie uważali rzeczywiście za groźne, których nie można lekceważyć, jeżeli ktoś jest chociaż cokolwiek świadom tego, jakie żywioły i z jakich powodów nurtowały dotąd prawie bezkarnie pomiędzy tym nieszczęśliwym ludem. Mówimy zaś nieszczęśliwym, boć on może jest tu najmniej winnym, a jeżeli obudza grozę, to jest tylko równy niepoczytalnemu dziecku, które szatańska ręka prowadzi ku bezdennej otchłani. Kto jednak zapomniał, cośmy wtenczas o tej sprawie pisali, teraz dziś w krótkości powtarzamy, jaka jest główna przyczyna, która po 40 latach znowu krwawą marę z grobu wywołuje.

Tak jest, 40 lat minęło, gdy karta dziejów zapisaną została krwią naszych ojców, którzy ponieśli śmierć z bratobójczej ręki. Zdawaćby się powinno, że po takiem strasznem doświadczeniu i dopuście Bożym, gdy się nareszcie było świadomym własnych win, ocknie się sumienie, a ta część społeczeństwa, która zawsze uzurpowała sobie nazwę starszej braci w narodzie uzna za niezbędne aby wnijść na inną drogę, — i pracować jak Bóg przykazał na niwie narodowej. Wierzyć było można, że hasło o Chrystusowej równości doda sił do podniesienia ku sobie tej wielkiej gromady, która się ludem nazywa, a która tworzy rzeczywistą siłę i że nie idąc z nią ręka w rękę, nie zyskawszy jej zaufania, nie tylko wszelkie mrzonki i rozumowania, ale nawet prawdy Boże nie zdobędą sobie posłuchu.

A przecież każdy, nawet najzwyklejszy śmiertelnik, który tylko posiadał zmysł zdrowy, mógł z góry przewidzieć, mianowicie w naszych stosunkach, że jeżeli zostanie zaniedbaną oświata ludu, jeżeli nie wytęży się wszelkich sił do umoralnienia tegoż, to w ludzie tym przechodzić będą z pokolenia na pokolenie j e g o w ł a s n e t r a d y c y e, tak samo, jak o wilkołakach, czarownicach, upiorach, a od których lud ten aby się uchronić, mimo to, że coś podobnego nie istnieje na Bożym świecie, zdobywa się na tę straszną odwagę, że nawet trupy tych wrzekomych czarownic i upiorów wykopuje z grobów, aby im następnie ucinać głowy i osikowymi kołami przybijać ciała w grobach do ziemi. A przecież czyny takiej ciemnoty są do najnowszych czasów na porządku dziennym w Galicyi i moglibyśmy podać żywe przykłady, na któreśmy własnemi oczami patrzyli, gdzie czynów tak wstrętnych nie dokonywały jednostki, spełniając świętokradztwo w nocy, ale całemi gromadami, gminami — w dzień biały. Dokonywały tego w obliczu władz miejscowych, jak wójtów gmin i proboszczów, którzy ze strachu drzeli i nie śmieli położyć swego „veto“, a nawet donieść o tych faktach wyższym władzom.

Taką to siłę ma ciemnota po dziś dzień w Galicyi, gdzie nader mało czyniono, aby ten nie-

---

Lud nie zwleka zemsty, kary:
W zdrajców domy wpada;
Już położył trzy ofiary,
Biada zdrajcom — biada!

Czwarty, piąty w ręku ludu,
Szóstego prowadzą.
Chyba że tu mocą cudu
Wszystkich nie wygładzą.

Za krew zemsta w każdej duszy,
Kosa w każdej dłoni;
A któż ludu serca skruszy,
Do miłości skłoni?

Darmo wzywają do zgody,
Proszą oficery:
Kiedy wpada strzelec młody
Między kosyniery.

„Bracia, posłuchajcie!“ woła,
„Stójcie bracia moi!“
Otoczyli go do koła,
Każdy słucha, stoi.

„Czy wierzycie jeszcze w Boga,
„I w Chrystusa Pana?“

Wierzym, a wiara nam droga,
W sercach niezachwiana!

„Tedy wiecie, jakie święte
„Chrystus wyrzekł słowa,
„Gdy już ręce miał rozpięte,
„Gdy mu zwisła głowa.“

„Ojcze! przbacz krzyżującym:
„Co czynią nie wiedzą.
„Niech też o nas — że błądzącym
„Darujem — powiedzą.

„Boże ciebie tu błagamy
„Z wygnania krainy,
„Jako zdrajcom odpuszczamy,
„Nam też odpuść winy“. —

I młodzian patrząc w niebiosy
Modlił się do Pana —
Wszyscy swe spuścili kosy
Padli na kolana.

Choć pod okiem trupy krwawe
Braci swoich mają;
Jednak oczy wznoszą łzawe,
Winnym przebaczają.

Cisza urocza do koła;
Kosa tylko szczęka;
Gdy proroka głosem woła
Młodzian i sam klęka:

„Ludzka zemsta, to pokusa!
„My im przebaczamy.
„Przysięgacie na Chrystusa?“
— Boże przysięgamy! —

Tak przed wiarą i pokojem
Zemsta ustąpiła;
Tam gdzie pierwsza zdradą, bojem,
Krew polska płynęła.

---

*) Wypadkowo dostała się do rąk naszych książeczka, drukowana w Poznaniu w r. 1848 pod tytułem: „Pamiątki z więzienia 1848 r.“ Książeczka ta zawierająca 64 stronic, mieści utwory profesora gimnazyum w Trzemesznie, Neya, a następnie więźnia fortecy poznańskiej. Wydanie to należy dziś do białych kruków bibliografii polskiej. Wiersz przez nas tu przytoczony ma dziś znaczenie, wobec cenionych przez Niemców w parlamencie berlińskim oszczerstw Polakom, z powodu charakteru zbrojnego w roku 1848. Pod tym wierszem, znajduje się następujące objaśnienie:

szczęsny lud rozświecić i podnieść na stanowisko godności człowieka. A nawet oświata, jaką usiłowano szerzyć i szerzy się dotąd, jest nader względną, bo powierzana przeważnie w ręce ludzi niepowołanych, ale traktujących naukę jako rzemiosło; tak samo jak to czyni źle płatny najmita, który czując się pokrzywdzonym, sam siebie usprawiedliwia, że jaka płaca, taka i praca.

Z drugiej strony można przeciwstawiać przykłady, iż tam, gdzie rzeczywiście starano się sumiennie zasiać oświatę pomiędzy ludem, gdzie dziedzic lub dzierzawca zbliża się do tego ludu w duchu bratnim, powodował się względem niego sprawiedliwością, gdzie kapłan działał z nim wspólnie, lub nie poczytywano mu za zbrodnię, ani wskazywano jako socyalistę, że lud oświecał i wskazywał mu właściwą obronę przeciw wszechnazwy wyzyskiwaczom — wampirom, gdzie pan nie unikał świątyni, a w wszystkich dolegliwościach lub dopustach Bożych dawał dowody, że dola ludu nie jest mu obojętną, tam z pewnością już teraz żadna mara, ani szatańskie podmuchy nie znajdą posłuchu ani gruntu dla siebie.

Tam, gdzie chociaż cokolwiek pracowane nad ludem, ale nie na okaz, nie dla parady, nie dla zdobycia sobie chwilowej czczej sławy, tam by lud nie dał ucha takim bredniom, że: „młody cesarz pogniewał się ze starym i związał się z panami, aby pańszczyznę przywrócić, że „panowie, szlachta nie mogąc zapomnieć 1846 roku, dziś chcą wykonać zemstę, i chłopów podczas świąt Wielkanocnych wymordować“. Albo że gdy na Mazurach usłyszy chłop wyraz „Polak“ lub „Polacy“, przejmuje go daleko większa groza, aniżeli gdyby ujrzał przed sobą żywego szatana. Gdyby ktoś krzyknął: — „Polacy idą“ — lud ten gotów nawet skakać w wodę i ogień, aby się tylko uchronić od wrzekomych swoich morderców i katów.

Zdaje się, że tych kilka faktów wystarczy, i nie może nikt zaprzeczyć, że się bardzo mało robiło, aby w tych masach zaszczepić ducha Bożego i prawdę. I tak działo się na każdym kroku. Jakżeż to dawno nawołuje się np. w Izbie sejmowej, o zniesieniu obszarów dworskich, a połączenie ich z gminami. Czy w tem odosobnionem i wykonywaniu praw autonomicznych można się dziwić twierdzeniu ciemnego ludu, że panowie knują tam nieustającą zdradę i że obszary dworskie tylko nad tem przemyślają, jakby działać na krzywdę jego?! Zresztą ilużto nie znajdzie takich przełożonych obszarów dworskich, którzy równają się tradycyjnym mandatarom szlacheckim, łupiącym i zarywającym chłopa, gdzie się da?

Idąc dalej, niech się teraz przekonają te stronnictwa, jakim murem chińskim odgrodzili wieśniaka od inteligentnych sfer, gdy przeprowadzili nieszczęsne hasło: w y r z u c e n i a w ł o ś c i a n z S e j m u, zamiast się starać przeciwnie o to, aby z całego obszaru chociaż kilkunastu zasiadło na krzesłach poselskich. Ci byliby się o tyle wykształcili i nauczyli rozumieć wszelkie sprawy kraju, że głos ich byłby silnym puklerzem przeciwko wszelkim szatańskim zamachom. Ale niestety, nieszczęsna klika, która jakby rozmyślnie pcha kraj do ostatecznego nieszczęście, chowając się nieustannie za parawan: — „że rząd temu winien“ — postępuje dalej w swych praktykach; bo dziś biada temu bez względu na osobistość i stan prawdziwemu przyjacielowi ludu, któryby chociaż w ewangelicznem znaczeniu usiłował zasiąść w Sejmie lub Radzie Państwa. Najlepszym przykładem tego jest ks. Kopyciński z Tarnowa i to właśnie z tej części Galicyi, gdzie dziś krwawe mary odejmują sen i przejmują trwogą. Prawdą jest, że duchowieństwo nasze za mało pracowało nad ludem, ograniczając tę pracę nieomal jedynie w murach kościelnych; ale jeżeli chcemy rozważyć, że nie każdy miał odwagę walczyć z oszczerstwem i być napiętnowanym s o c y a l i s t ą, d e m a g o g i e m, r e z u n i e m, gdy mu był milszy spokój, — jakaż była to wymówka i zachęcanie do lenistwa dla tych, którzy nic nie chcieli robić, a kapłaństwo uważali tylko za rzemiosło. Dziś wybrano powtórnie ks. Kopycińskiego do Rady państwa i znowu czyni się wszystko, aby decydujące władze duchowne zabroniły mu przyjęcia tego mandatu. Niechaj raczą rozważyć nieszczęśni menerzy i intryganci, czy takie igraszki z ludem są na miejscu i do czego mogą doprowadzić! Czy to nie jest dolewaniem oleju do ognia, jeżeli wybór ks. kanonika Kopycińskiego, w którego lud wierzy jak w apostoła, odbył się bez wszelkiego wpływu tegoż, bez kieliszka wódki, bez kawałka kiełbasy i bez jednego srebrnika judaszowego? Że wpływy możne wybór ten znowu mogą unicestwić, o tem bynajmniej nie wątpimy, ale czy odpowiedzą ci, którzy takie ziarno zasiewają pomiędzy ludem — za plon, jaki wyda? Bodaj przywidywania nasze były fałszywe.

Zdaniem naszem należałoby się przeciwnie starać o to, abyśmy jak najwięcej mieli takich księży Kopycińskich, a widma krwawych mar i bratobójczych nożów przestałyby nas prześladować na jawie i we śnie.

Od siedmiu lat wskazywaliśmy nieustannie na smutne następstwa demoralizacyi, jaka się praktykuje podczas jakichkolwiek wyborów, w których lud bierze udział, przy których uczono go tylko, jakoby wszelkie wykonywanie ustaw i praw konstytucyjnych obywatelskich, — było tylko robotą i szermierką panów jednych z drugimi, i że wszystko kupuje się tylko za gorzałkę, kiełbasę i srebrniki judaszowe. A mamy jeszcze w żywej pamięci, że n. p. okolica Brzeska, zkąd dziś najwięcej krwawa zmora wychyla swe żądło, demoralizowanie ludu podczas wyboru na rzecz p. hr. Jana Stadnickiego, przechodziło wszelkie granice. Przyczyny takie same znaleść można w tych wszystkich miejscowościach, gdzie dziś ta hydra podnosi głowę.

To jest jedna strona medalu, a teraz oglądnijmy drugą.

Zdaje się, iż nam odnośne władze rządowe w Galicyi nie zechcą zaprzeczyć, ani też *Strażnica* nie zostanie za to skonfiskowaną, jeżeli ośmielimy się wyrzec, iż odnośnym władzom politycznym nie było niewiadomem, że sąsiednia Rosya czyni bardzo skrzętne usiłowania, aby pomiędzy ludem galicyjskim przygotować sobie na wszelki wypadek podstawę do działania, gdyby Austro-Węgry weszły w jakąkolwiek kolizyę z caratem północy.

Przypominamy schwytanie in flagranti w Mikuliczynie i odstawienie p. jenerała Ostensackena do Nadwórny, a potem wysłanie tegoż w bezpieczeństwie do granicy. Dziwiło nas mocno, gdyśmy się potem wkrótce dowiedzieli, że p. jenerał przejechał Galicyę rzemiennym dyszlem i że w bardzo wielu miejscach zatrzymywał się u znajomych, a nikt się o to nie troszczył i nie mógł wykryć, jaką przyczynę mają te odwiedziny i skąd się te znajomości datowały, chociaż to nie było tak wielką tajemnicą po różnych gminach i gromadach. Niebawem potem dyrekcya policyi lwowskiej odniosła się do redakcyi *Dziennika polskiego* aby ktoś z redakcyi przybył, ponieważ aresztowany jest jakiś „e m i g r a n t“, który chce się znieść w osobistym interesie prywatnym z obywatelem lwowskim. Życzeniu temu uczyniono zadosyć, lecz ten który udał się z urzędnikiem policyi do aresztu na ulicę Słoneczną, ku zdziwieniu swemu poznał w rzekomym emigrancie majora wojsk rosyjskich, Konstantego Kochanowskiego (syna kamerdynera W. ks. Konstantego w r. 1830, który ułatwił ucieczkę księciu z Belwederu). Gdy p. major, którego przyszupasowano z Sokala, gdzie się swendał pomiędzy ludem i księżmi ruskimi, usłyszawszy w dodatku, że jest urzędnikiem do tajnych poruczeń w biurze gubernatora Kotzebuego w Warszawie, a wysłany do Galicyi wraz z kilkoma innymi emisaryuszami do przeprowadzenia propagandy, uznał za właściwe nie zachowywać dalszego incognito, lecz odkrył surdut i wydobył na wierzch jako tarczę ochronną krzyż Anny czy też Georga na wstążce, i za nazwę szpiega chciał interlokutora wyzwać na pojedynek. W kilka dni później p. major pojechał znowu bardzo wygodnie ku granicy.

Wiadomo nam bardzo dobrze o tem, że ten sam p. Konstanty Kochanowski odbywał znowu bardzo często podróże i wycieczki do Galicyi i pokazywał się aż na Mazurach. Przyzna jednak każdy, że po pierwszem doświadczeniu uważaliśmy za zbyteczne wskazywać tego ciekawego podróżnika.

Niezbyt dawno, bo w roku zeszłym donoszono nam z bardzo pewnego źródła z Warszawy, że p. Mirosław Dobrjański żyje w bardzo ścisłych i nieustannych stosunkach z p. Konstantym Kochanowskim i w ogóle z tymi jego towarzyszami, którzy bardzo często robią wycieczki do Galicyi. W tem towarzystwie widziano nawet otca Naumowicza. — Ponieważ wiadomości te miewamy z bardzo pewnych źródeł, to też śmiemy i tym razem twierdzić, że Mirosławowi Dobrjańskiemu nie muszą być obce te figielki mazurskie, a tem samem i jego przyjaciołom politycznym.

Nareszcie przed kilku dniami odebraliśmy wprawdzie bardzo lakoniczną, ale rzucającą pewne światło wskazówkę, a mianowicie, że mary te krwawe na Mazurach mają pewną łączność z projektem podniesionym w Radzie państwa, czyli z ustawą o p o s p o l i t e m r u s z e n i u, i w ogóle z obecną sytuacyą polityczną.

Byłoby więc wielce do życzenia, aby pod tym względem odnośne władze rozwinęły jak najsilniejszą energię w celu dojścia, kto dmucha na ten żar w masach ludu na Mazurach. Nie przypuszczamy albowiem i nie możemy pojąć, aby dojście do źródeł pewnych było tak niemożliwem i niewykonalnem. Ostatnie zaś zebrane wiadomości z Mazurów są tego rodzaju, że lekceważenie tych straszydeł może doprowadzić do bardzo niemiłych i szkodliwych zajść.

Do dziejów fundacyi Skarbkowskiej.

Na posiedzeniu Rady miejskiej dnia 8. bm. było na porządku dziennym dokonanie wyborów dwóch delegatów do Rady nadzorczej Fundacyi Skarbkowskiej.

Pan radny Henryk Rewakowicz postawił wniosek (co dotąd niebyło w zwyczaju) aby ustępujący dali sprawozdanie z swej czynności trzechletniej — i objaśnili radę, ażeby ta miała wyobrażenie w jakich warunkach się dziś Fundacya znajduje.

Przeciw wnioskowi temu powstała opozycya pewna, ale większość przyjęła wniosek Rewakowicza, poczem pp. Dr. Alfred Zgórski i Wiktor Swisterski, uczynili zadosyć swemu obowiązkowi. Sprawozdanie ich zaś, chociaż było b a r d z o o g l ę d n e, bo mowcy trzymali się w najściślejszych granicach parlamentarnych, rzuciło jednak tak jaskrawe światło na Fundacyę, iż wywołało powszechne zdumienie. My zaś dodajmy, że gdyby Rada miasta już dawniej żądała była takich sprawozdań od swych delegatów, to dziś

„Zdarzenie to zaszło w Trzemesznie na dniu 10tym Kwietnia. Przeciwnicy nasi usilnie odpierają zarzut zdrady i zabójstwa. Aleć dostateczne dowody prócz świadków były strzelnice w ścianach i oknach sklepowych takich domów żydowskich i niemieckich, do których wojska ani nie były dotarły. Obdukcya kilkunastu trupów nie mogła wiele wykazać, bo i świadków nie słuchano wtedy. Młodzian który wstrzymał wyrznięcie zdrajców, był obywatel Brzozowski. Otóż moc wiary naszej! otóż szlachetna wspaniałomyślność ludu naszego, przeciwko któremu w roku 1848. krucyatę podniosła biurokracya“!

Otóż tu zbieg okoliczności jest taki, że fakt ten posiadamy, opisany we własnych pamiętnikach, któreśmy spisywali pod wrażeniem świeżem i na miejscu, w krótkim czasie, bo zaraz po r. 1848.

Notatki nasze tak opiewają:

„Gdy zaraz po wypuszczeniu więźniów stanu z Mohabitu, dokonanego przez lud, nie tylko naród ale sfery rządowe pruskie, a nawet panowie ministrowie niedwuznacznie się odzywali do Polaków, że teraz nadeszła chwila, aby uderzyć na wspólnego wroga, a prezydent berlińskiej policyi Minutali, przypasując więźniom stanu pałasze do boków, którzy wyruszali w Poznańskie, takie same dawał głośne hasła, nic więc dziwnego, że Wielkopolska zaczęła się zbroić nie przeciw Niemcom, nie przeciw Prusakom, lecz przeciw Moskwie. Wiara w te hasła i braterskie połączenie z Niemcami była serdeczną, było prawdziwą aż do chwili, gdy Niemcy odpłacili nam najnikczemniejszą zdradą i zbojeckimi potajemnymi napadami i mordami. Jeżeli zaś w pewnych pojedynczych momentach, lud zbrojny mordowany z tyłu już nie przez wojsko ale przez tych cywilów niemieckich, którzy jeszcze dotąd nosili połączone niemieckie i polskie kokardy narodowe, to czy się można było dziwić, jeżeli ten lud oburzony tymi haniebnymi mordami, szukał doraźnie odwetu.

Trzemeszno, miasto powiatowe było także jednem z obozowisk, gdzie zupełnie legalnie organizowano hufce polskie. Kilkudziesięciu strzelców pod kapitanem Wargowskim, uzbrojonych w ptaszniczki i dubeltówki, kilkuset kosynierów i kilkunastu ułanów z lancami na pieszo, bez koni jeszcze, oto była cała nasza polska siła zbrojna. Dowódzcą tejże był stary pułkownik Słobicki, z r. 1831., który przybył z emigracyi. Zachowanie się tej siły zbrojnej wobec Niemców i w ogóle ludności polskiej w Trzemesznie, było wzorowe, a nawet serdeczne. Niemcy spiewali: „Noch ist Polen nicht verlohren“ „Denkst du daran, du tapferer Lagenko“. Albo „die letzten zehn von vierten Regiment“, — a nasi szli nawet tak daleko, że oddając pięknem za nadobne, śpiewali patryotyczne pieśni niemieckie. Hufiec polski nie marzył nawet o jakiejkolwiek zdradzie, gdy niespodzianie dnia 10. Kwietnia napadnięty został przez wojsko pruskie, żądające bezwarunkowego złożenia broni; lecz nie było ani jednego kosyniera lub strzelca, któryby usłuchał tego rozkazu, pomimo przeważnej siły pruskiej. Rozpoczął się bój, zginął młodzieniec dzielny Chachulski, więzień stanu i kilkunastu innych. Wiara trzymała się dzielnie, bohatersko, gdy nagle zaczęły padać na nich strzały z tyłu, z domów, zamieszkałych przez Niemców i żydów. Padło kilka trupów i od takiej zdradzieckiej kuli zginął Chachulski.

Można zrozumieć rozgoryczenie naszych, w obec takiej nikczemności. Wśród najgorętszego boju przylatuje kurjer ze sztabu pruskiego, Budenbrock I. oficer, z Kościelskim Władysławem, (późniejszem Seferbaszą jeszcze żyjącym) dla powstrzymania boju wskutek zawartej konwencyi pod Srodą. Dzielny i zacny Budenbrock nie zważając na niebezpieczeństwo wpadł pomiędzy liczbę walczących w krzyżowy ogień i z trudnością powstrzymał zacietrzewionych żołnierzy pruskich od dalszych mordów, ogłaszając, że król pruski zezwolił na formowanie się kadrów polskich pod jenerałem Willisenem. Pruskie wojsko oddaliło się, lecz nasza wiara kosynierska była tak rozdrażniona popełnionymi mordami ze strony Niemców i żydów Trzemeszeńskich, iż rzeczywiście postanowiła zemścić się doraźnie na nich. Chwila była straszna,

nieznajdowała by się Fundacya w tak smutnych opałach i niebyłoby tyle mienia publicznego — roztrwonionego, zrabowanego.

Jak dla Rady te sprawozdania były ciekawe, dowodzi najlepiej to, iż gdy p. Dr. Zgórski zaczął mówić z miejsca, odezwały się liczne głosy: „Na trybunę! na trybunę!“, czemu też zadość uczynił. Chociaż widocznie chciał się trzymać w bardzo ścisłych i oględnych granicach, nie mógł jednak wyminąć niektórych drażliwych faktów.

Sprawozdania te podajemy za *Kurjerem lwow.*, z dodaniem tych szczegółów, które znowu Redakcya *Kurjera* poopuszczała.

Dr. Zgórski przemówił w sposób następujący: Weszliśmy do Rady administracyjnej fundacyi Skarbkowskiej w chwili, kiedy rozprzężenie doszło do punktu kulminacyjnego. Zarząd majątkiem nie był bardzo szczęśliwy, a zarząd w Drohowyżu był w stanie nieświetnym. Zajęliśmy zaraz stanowisko opozycyjne. Zarząd był niefortunnym głównie dlatego, ponieważ między dyrektorem a radą administracyjną stosunek nie był jasny. Zarząd nie był bezinteresowny, sprawozdania nie były zgodne z rzeczywistością. Rada administracyjna zbyt często uchwalała nie jedno na podstawie błędnej informacyi. Przekonawszy się, że dyrektor bierze podarunki od partyj, robiliśmy wszystko, celem usunięcia tegoż. Personal nie był dobry, chcieliśmy przeprowadzić reorganizacyę. Działaliśmy w tym kierunku zgodnie z Switerskim i znaleźliśmy szczere poparcie ze strony delegatów Wydziału krajowego, we wszystkich sprawach zapadały uchwały w ostatnich latach jednomyślnie. Zażądaliśmy solidarnie usunięcia Kövesza — kurator zasuspendował naszą uchwałę; delegaci Wydziału krajowego obstawali stanowczo przy powziętej przez radę administracyjną uchwale, a Wydział krajowy potwierdził też naszą uchwałę z pominięciem opozycyi kuratora.

Smierć księcia Jabłonowskiego ułatwiła nam wszystko. Książe J. był człowiekiem uczciwym, ożywionym najlepszemi chęciami dla fundacyi. Trudna z nim była walka, był to starzec złamany. Przyszedł nowy kurator. Stanowisko Starkla nie było tego rodzaju, abyśmy mieli prawo postąpić z nim jak z Kövessem, chociaż niezaprzeczenie zakład nie należycie był prowadzony. Kurator nie zgadzał się ze Starklem, skutkiem czego tenże zrezygnował — za nim poszli inni, a wczoraj zrezygnował naczelnik warstatów Łazowski. Warstaty także nie należycie funkcyonowały. Zrobiliśmy porządek — to był środek do przeprowadzenia reform materyalnych — tej roboty jeszcze nie skończyliśmy, bądźcie jednak spokojni, kogokolwiek wyszlecie obecnie do rady administracyjnej, delegaci rady miejskiej znajdą zawsze największe poparcie ze strony delegatów Wydziału krajowego.

Fundacya posiada majątek nieruchomy przedstawiający wartość mniej więcej 3 milionów, z tego pół miliona gld. uwięzionych jest w budynkach zakładu drohowyzkiego i nie odrzuca dochodów, gmach teatralny reprezentujący również wartość pół miljona gld. nie odrzuca także odpowiednich dochodów, bo cięży na nim dotychczas przywilej utrzymywania teatru, budynek sam nie dobrze zbudowany potrzebuje ciągłej adaptacyi i przynosi rocznie zaledwie 12 tysięcy gld.

Pozostałe 2 miljony przynoszą około 100.000 gld. rocznie — które pokrywać muszą koszta administracyjne. Na legata i pensyę kuratora odliczyć potrzeba 25.000 gld., zostaje więc na utrzymanie zakładu Drohowyzkiego 75.000 gld. rocznie — kwota ta nie wystarcza na utrzymanie zakładu, deficyt jest coraz większy, a ambaras nasz w tym samym stopniu się zwiększa.

Co do podniesienia dochodu z majątku stoi na przeszkodzie statut, który zakreślił z góry system dzierżawy w wielkich kompleksach, skutkiem czego jest coraz mniej kompetentów i coraz trudniej oddać dzierżawy w odpowiednie ręce. Dawny dyrektor (Kövess) oddawał dzierżawy zawsze w najgorsze ręce — były liczne bankructwa, skutkiem których ucierpiała fundacya.

Zresztą gospodarstwo jest przeważnie leśnem i rozrzuconem po całej wschodniej Galicyi. Potrzeba do prowadzenia tego sprytu handlowego, a fundacya nie umiała gospodarstwa leśnego należycie wyzyskać. Kövesz nie cieszył się zaufaniem rady administracyjnej a książe Jabłonowski nie miał należytego poglądu. Myśmy przeszkodzili większym interesom, które wydały nam się podejrzanemi. Firma Gö z i spółka zaproponowała świetny na pozór interes, chciała zapłacić z góry 200.000 gld., fundacya była w długach, była więc silna pokusa. Myśmy byli temu przeciwni i obaliliśmy ten interes, obawialiśmy się, że firma ta za zapłacone 200.000 gld. wypleni nasze lasy, z których nic nie pozostanie. (Wiadomo albowiem było, że przy tej sprzedaży figurować miały 20.000 zł. łapówek, a gdyby sprzedaż była przyszła do skutku, lasy w Żabiem nie byłyby już istniały. Jak przeszła kuratorya pilnowała dobra fundacyi, dowód najlepszy że w Żabiem znikło z powierzchni ziemi z obszaru fundacyjnego, przeszło **dziesięć tysięcy morgów lasów i pastwisk. Red.**).

Interes tak wielki wymagał dobrej buchhalteryi — ona była jednak taką, jakby się umyślnie starano, ażeby wszystko było pogmatwane. Zażądaliśmy z całą energią zmiany prowadzenia książek. Metoda urzędników jest taka, że siłą się robić trudności. Zmieniliśmy książkowość i mam nadzieję, że dzisiejsza rada administracyjna będzie miała należyty pogląd.

Zakład drohowyzki założony był na bardzo wielką skalę. Fundator zostawiając miljonową fortunę i mając sam bardzo małe potrzeby myślał, że za 3 lub 4 miljony będzie można zrobić niestworzone rzeczy. Zakład założony został właściwie na 600 dzieci i 400 starców. Miał to być zakład wychowawczy i szkoła rzemieślnicza, która zaopatrywać miała nasze miasta prowincyonalne w zdolnych rzemieślników.

Dyrektor Starkel był to człowiek szerszych poglądów, tworzył ideały, nie troszcząc się o fundusze. Założono zakład z komfortem pedagogicznym i technicznym — tak że fundusze, które były do dyspozycyi, nie mogły go utrzymać.

(Pominięto zupełnie myśl i wolę fundatora, który nieliczył bynajmniej za wiele owoców, jakie fundacya wydawać była powinna. Fundusze były zupełnie wystarczające, gdyby fundacya niebyła rabowaną przez dziesiątki lat i gdyby gospodarka, odbywała się chociaż w elementarnych warunkach znajomości rzeczy. Przy otwieraniu zakładu w Drohowyżu, minęło się również najzupełniej z zadaniem, jeżeli warstaty rzemieślnicze pozostały ironią w decyzji stanowczej dyrektora zakładu p. Starkla i naczelnika warstatów Łazowskiego, którym się zachciało „fabryki“, do produkowania proletaryatu niedouczków i pod tym względem takową sumiennie w życie wprowadzili, w skutek czego zakład czyli jego wychowańcy, oddani byli natychmiast w objęcia chronicznej choroby, jeżeli nawet pod względem pedagogicznym czyli „ze względów pedagogicznych“ ulubionym konikiem frazesów, na którym p. Starkel nieustannie jeździł i nim się zasłaniał, była to pielesza przyszłych komunardów, nihilistów i bezwyznaniowców. W tym kierunku, oddał p. Starkel rzeczywiście wielkie usługi, tego rodzaju postępowi. Redakcya).

Zakładowi szkodzi to, że jest na pustyni nie pod okiem kuratoryi i rady administracyjnej. Urzędnicy siedzieli tam odłączeni od świata, zaczęli żyć za wesoło, nie będąc pod kontrolą władz i opinji publicznej.

Kto chce mieć pojęcie, czem był zakład w Drohowyżu, ten niech przeczyta sobie znane książki: „Tysiąc i jedna nocy“ oraz „Dekamerona“ a resztę może sobie już dospiewać.

Pod względem prowadzenia zakładu dałoby się bardzo wiele niekorzystnego powiedzieć. Trzeba koniecznie dochody i rozchody fundacyi doprowadzić do równowagi, trzeba się będzie wziąść do Drohowyża w sposób praktyczny.

Fundator życzył sobie, ażeby ulokowane w zakładzie dziewczęta wychodziły jako dobre kucharki i pokojówki. Główną więc wadą jest, że wychowują tam dziewczęta jakby na guwernantki, na wypieszczone panienki z pretensyami.

(Co do tego punktu, musimy zupełnie zaprzeczyć p. Dr. Zgórskiemu słuszności, gdyż widocznie nie troskliwie i nie nader uważnie interpretował wolę fundatora, która w każdem słowie znamionuje wielkiego myśliciela, a który był świadomym tego co chciał czynić, a wola jego bynajmniej niekręguje testamentem wyznaczonych kuratorów nie broni im zmian licujących z duchem czasu. Otóż gdyby się chciano ściśle trzymać tych słów, że dziewczęta mają tam być jedynie wychowywane na dobre kucharki i pokojówki, nie oddałoby się tem przysług krajowi bo sumaryczne wychowanie setek dziewcząt w tym kierunku, jest po części niemożebnem, a w rzeczywistości nie wytrzymałoby jakiejkolwiek krytyki.

Jeżeli zaś p. Dr. Zgórski miał odwagę powiedzieć, jakoby dziewczęta chowały się tam na pseudo guwernantki i wypieszczone panienki z pretensyami, to zarzut ten dotyczyłby Siôstr Felicyanek, ktorym oddział dziewcząt został powierzony po nieszczęsnym i niefortunnym zarządzie poprzednim dyrektorek i nauczycielek cywilnych.

Z tej epoki, mamy aż nadto smutnych ale prawdziwych dowodów i pytanie gdzieby się było do dziś dnia zaszło, gdyby Siostry Felicyanki nie były powołane. Jeżeli p. Dr. Zgórski nazywa pieszczeniem ten fakt, że głównem usiłowaniem Siôstr Felicyanek jest, aby sieroty nieczuły się sierotami i niebyło im zupełnie obcem kochające serce zawczesnie zmarłych matek, to ma rzeczywiście słuszność. Dołożyliśmy wszelkich starań, aby zbadać gruntownie cały sposób wychowania sierot w Drohowyżu przez Siostry Felicyanki i doszliśmy do tego jedynego przekonania, że każda sierota bez wyjątku otoczoną tam jest prawdziwą miłością macierzyńską i siostrzaną; a nawet co się niejednemu dziwnem wydać może, że Siostry Felicyanki stawiając na pierwszym planie wychowanie religijne, nie posuwają tych praktyk do bigoteryi, a tem mniej do wszelkiego świętoszkostwa.

Jeżeli warunki pedagogiczne, naukowe, były lub są niewłaściwymi, to nie ich wina, ale przepisów, jakie Rada szkolna krajowa wydaje, których żadnemu nauczycielowi, ani nauczycielce łamać nie wolno i muszą się do nich stosować. Przed Siostrami Felicyankami w zakładzie drohowyzkim, schylamy czoło i brak nam słów uznania, jakie czujemy dla tych dziewic kapłanek bożych. Redakcya).

---

bo dowódcy polscy i inteligencya w obec takiego rozgoryczenia byli prawie bezwładni, i już padło trupem kilku schwytani po prostu na gorącym uczynku, z bronią w ręku.

Pomiędzy strzelcami był młodzieniec w białej krakusce i w białej chłopskiej płótniance, który w czasie boju z Prusakami zapalał swoją nieustraszoną odwagą towarzyszy, a mianowicie kosynierów, gdy wsadziwszy czapeczkę na sztuciec, popychał ich do ataku na piechotę pruską, która się cisnęła do miasta, a kosyniery wołali: — „niech żyje strzelec!“ — Otóż ten spostrzegłszy, że kupa kosynierów prowadzi jakiegoś roslego, na wpół obnażonego Niemca i woła: — „Na plac z nim, przed gimnazyum i tam go ściąć!“ — rzuca się dzielny młodzieniec pomiędzy tę kupę, aby zagrożonego ocronić. Dopadł jednak za późno, bo błysło kilka kos i w mgnieniu oka położyło ofiarę.

Młodzieniec rozpycha tłum i usiłuje przemówić i zaklęciami powstrzymać dalszą zemstę.

Było to wielkie ryzyko, bo kilku rozwścieklonych kosynierów, uważając go jako zdrajcę i sprzyjającego Niemcom, podnoszą już kosy na niego, gdy w tem kilku innych kosynierów, poznając go po białej krakusce, że to on ich na Prusaków prowadził do ataku, i zasłaniając go piersiami własnemi wołają: — „to nasz, to nasz, to nasz dzielny strzelec!“

Młodzieniec nie traci przytomności ale woła na odzew:

— „Ja nie wasz!“ —

Wielkie zdumienie. — Aż tu młodzian jak zawoła w Imię Chrystusa: — „Za kim chcecie iść, czy zamną, czy z zemstą za szatanem?! — i dalejże cytować dalsze słowa z Pisma świętego. I o cudo! — Ta rozwścieklona gromada, z której oczu ział co tylko mord, bierze kosy do nogi, zdejmuje czapki i słucha młodzieńca jakby głosu Bożego. Za chwilę ani śni żaden o dalszej zemście. Cisną się do młodziana, całują mu ręce, ściskają go i podnoszą na barkach swych.

Cóż to za świetny obraz, charakteryzujący najszlachetniejszy grunt nawet w tym biednym ludzie siermięgowym! Młodzieńcem tym był jeden z sympatycznych naszych poetów Karol Brzozowski, który żyje i może każdej chwili stwierdzić wiarogodność tego co tu piszemy.

Na zakończenie zapytujemy pana kanclerza, i jego falangę: kto to się dopuszczał mordów w r. 1848 na Wielkopolskiej ziemi, i kto się dziś powinien rumienić za te haniebne czyny?

J. N. z Oleksowa Gniewosz.

HEIDENREICH - KRUK.

Dzielny syn Polski, wróciwszy do kraju
Próbował różne tu uprawiać niwy,
Ale niestety doznawał zawodu
Bo jak na dzisiaj był on za — uczciwy.
Umarł... Znikł znowu jeden z bojowników
Co w polskiej sprawie walczył wciąż na przedzie
Powierzył córkę opiece narodu
Czyliż się także i nad tem zawiedzie?
Czyli w niepamięć pójdą już niebawem
Jego ofiarność, jego piękne czyny?
Czy obowiązku także pamięć zgaśnie
Tu „gdzie myśl zwykła nie przetrwać godziny?“
Spiewaków, grajków ozłacamy niemal
Niechże ofiarność, co tak nie przebiera,
Wystąpi teraz, by uczcić zasługę
I spokój przyniesie cieniom bohatera!
Idąc za trumną tak myślałem sobie
A dziś już mówię: Cześć Ci stary Lwowie!
Za to coś zaraz zrobił dla sieroty,
Niech wzmacnia Bóg twe narodowe zdrowie!

(Djabeł).

Z chłopcami to samo się dzieje — w szkołach ykształcenie jest za wysokie, a natomiast w warsztatach „pożal się Boże“ — to istna karykatura, aden nie umie ani kuć ani heblować.

Warsztaty nie odpowiadały wymogom. Wszytko założone było na wysoką skalę. Pretensye były gromne — fundusze nie wystarczały. Rada administracyjna, Wydział krajowy i nowy kurator dążą o reform, koniecznie znaleść potrzeba dyrektora, tóryby zakład należycie prowadził.

W nadchodzącem trzechleciu trzeba też będzie omyśleć o teatrze, stolica bez teatru być nie może, za lat 5 kończy się obowiązek utrzymywania teatru gmachu Skarbkowskim; jest to ciężar ogromny potrzebaby bardzo wielkich wkładów, gdyż władze ie pozwolą, ażeby w takim stanie utrzymać dalej eatr pod względem technicznym. Wydelegowani do badania teatru pp. Gołąb i Kędzierski nie świetną am zdali relacyę o gmachu teatralnym.

Ażeby odpowiadał wszystkim wymogom bezpieczeństwa, trzeba by go z gruntu zwalić.

Zwracam też uwagę na szczupły zakres działaia rady administracyjnej, wedle instrukcyi jest ona łaściwie tylko biurokratycznym „beiratem“ kuratoryi. Uchwala tylko budżet, a zresztą może kurator robić o mu się żywnie podoba, nie oglądając się na nasze oglądy i zdania. Trzeba sobie więc wyrobić wpływ pozycyę kuratora, Wydziału krajowego i władz rządowych — a dowodem tego jest właśnie spensyoowanie dyrektora, które nastąpiło zgodnie z wszystkiemi władzami, wbrew woli kuratora.

Ostatnie to orzeczenie, zastanowiwszy się nad niem bliżej, daje wiele do myślenia, bo widocznie dąży daleko, bardzo daleko, a mianowicie aby stanowisko kuratora było raczej jako firma przy „beiraie“, któryby całą władzę sam wykonywał. Otóż i od tym względem śp. fundator ograniczył te prawa o równowagi, a nie jego winą było, że wszystkie „beiraty“ przy byłej kuratoryi, pomimo, iż niemożna awet przypuścić, aby niewiedziały co się dzieje w całej fundacyi i gdy cały kraj nieomal bił w dzwony ożarne na grozę rabunku zniszczenia i demoralizayi — „beiraty“ spełniały nader troskliwie i uporie funkcyę parawanu. A więc mamy prawo zapytać p. Dr. Zgórskiego, czy — na co się obecnie sam p. Starkel odwołuje — był tak pewien i świadom wszelkich prawidłowości, że podczas uroczystości egzaminów w Drohowyżu spełniał toasty na cześć znakomitego zarządu zakładem i kuratoryi.

Wobec tego faktu, zdaniem naszem, wart był Pac pałaca, a pałac Paca; mówimy naturalnie tylko o przeszłej erze fundacyjnej, bo o takich toastach „bajratowiczów“, głosili corocznie sprawozdawcy dziennikarscy.

Po p. Drze Zgórskim zabrał głos p. Wiktor Swisterski:

Głównie starałem się poznać warstaty w Drohowyżu. Złe prowadzenie nauki rzemiosł nie podobało mi się i przyszedłem do przekonania, że z wychowanków tego zakładu trudno będzie mieć dobrych rzemieślników. Fundator przypuszczał, że dopiero za lat 50 będzie można pomyśleć o podwyższeniu pensyj urzędników, a tymczasem musiano to uczynić już w roku 1873, nastała bowiem drożyzna. Przeszkodą w rozwoju warsztatów był dyrektor, który pojmował wszystko idealnie. Gdy dyrektor podał był swoją rezygnacyę, byłem za przyjęciem tejże, inni członkowie rady administracyjnej byli jednak odmiennego zdania i podwyższono mu wtedy pensyę o 400 zł.

Utworzono w Mikołajowie filię warsztatów pod firmą nauczyciela Łabowskiego, a do spółki należał dyrektor zakładu i naczelnik warsztatów Łazowski. Rada administracyjna celem zbadania stanu rzeczy wysłała wówczas mnie i ś. p. Podlewskiego i przekonaliśmy się, że z Drohowyża posyłano do Mikołajowa drzewo na rachunek bieżący i pożyczano także z zakładu narzędzia, a p. Łazowski wyjeżdżał często do Mikołajowa.

Zakład drohowyzki kupował w Mikołajowie rozmaite wyroby i sprzedawał je tylko o 5 prc. wyżej ceny kupna.

(Dzieje tej „fabryki spółkowej“ w Mikołajowie, Starkel, Łazowski i Łabowski, ostatni kierownik szkoły 4-klasowej, są jedyne w swoim rodzaju, a możebne tylko w Galicyi.

Panowie ci, postanowili założyć pracownię spółkową na własny zysk i stratę, ale naturalnie potrzeba było na to pieniędzy, których żaden z nich nie miał. O kredycie zaś nie mogło być mowy; cóż więc robią? Pan Łabowski przygotowuje na ten cel dom w Mikołajowie, a spólnicy pp. Starkel i Łazowski, dostarczają — naprzód z wyzwoleńców zakładu drohowyzkiego na robotników, nieodwołując się ani do kuratoryi ani do Rady zawiadowczej, zaopatrują nową fabrykę w drzewo i inne materyały i wszelkie narzędzia, a to wszystko rzekomo wypożyczone, lub na rachunek wydane z warstatów i ze składów zakładu w Drohowyżu. Pan naczelnik warstatów Łazowski, przesiaduje połowę czasu w Mikołajowie jako kierownik, a jeżeli zakład drohowyzki dostaje jakieś korzystniejsze zamówienia, p. dyrektor Starkel przyjmuje je na rachunek spółkowej fabryki w Mikołajowie jak n. p. kilkadziesiąt warstatów tkackich od Wydziału krajowego. Niedouczki wykonują części grube w Mikołajowie, ramy, czyli stalugi warstatowe; wszystkie zaś trudniejsze kawałki, drobne części, wchodzące w mechanizm tkacki, każe p. Starkel i Łazowski wykonywać w warstatach drohowyzkich — **jako dodatkowe bagatelki.**

Jak na tem wyszła kasa zakładu, mogą każdej chwili księgi rachunkowe, rozpatrzone przez rzeczoznawców wykazać.

Pewien przemysłowiec ze Lwowa zamawia znowu kilkadziesiąt wózków pocztowych i płaci za takowe. Spłata ta nie uwidoczniona jednak została w księgach kasowych, coś tak około 1.200 zł., a więc nowa kuratorya urguje dłużnika, a ten składa dowody, że należność spłacił a tylko jakaś mała sumka od niego się należy. Pan Starkel zapytany odpowiada, że rzeczywiście pobrał te pieniądze, a to z tego powodu, że należały się właściwie jego fabryce w Mikołajowie, bo ta miała tych wózków dostarczyć. Faktem jednak jest, że wózki te wykonane były w warstatach drohowyzkich, bo inaczej nie figurowały by tam w księgach.

Zastanówmy się nad tem, jak to wyglądały te operacye handlowo-przemysłowe p. Starkla, który sprzedawał wyroby ze swej spółkowej fabryki w Mikołajowie do zakładu drohowyzkiego za gotówkę, a kasa zakładowa zyskiwała na tem idealne 5 prc.

Czy jest kto w możności wynaleść idealniejszy i uczciwszy stosunek prywatny dyrektora zakładu i naczelnika warstatu, w tego rodzaju operacyach przemysłowo-handlowych? Na jakie to świetne pomysły fruktyfikacyjne wpada taki znakomity pedagog, a były członek Rady szkolnej krajowej — jak p. Juliusz Starkel.

Kiedy już wspomnieliśmy o pedagogii, to nie wolno nam pominąć systemu wychowania pedagogicznego, jaki p. dyrektor rozwinął i praktykował w Drohowyżu. I tak: Aby wychowańcom nie zamąciły w głowach jakie dziwne pojęcia, usiłował zaszczepić w nich przedewszystkiem pojęcie o równouprawnieniu i wpoić zasady wspólnej własności. W myśl tego poglądu, żaden z wychowańców niedostawał munduru, spodni, butów, bielizny, na wyłączną własność osobistą i aby go niekrępować zbytnimi obowiązkami, gdyby był odpowiedzialny za poszanowanie tych artykułów odbiorczych, należały one do wszystkich i rozdawane były na chybił trafił. To też nie dziw było widzieć chłopaków 10-letnich podczas występu popisowego, ubranych w buty, które zrobiono na miarę 17 i 18-letnich wychowańców.

Ze względów pedagogicznych, uchylono obowiązkowe czyszczenie codzienne garderoby, obuwia, zmieniania co tydzień bielizny, przedłużając tę czynność nawet na kilka tygodni. Codzienne mycie twarzy i rąk było dowolną czynnością tych wolnych obywateli wychowańców. Tak samo wypełnianie czynności religijnych.

Jakkolwiek kwitnąca fabrykacya kart i gierki różne w takowe, były znane i wiadome, mianowicie w salach sypialnych po nocach. Względy pedagogiczne podług poglądu p. Starkla, nie pozwalały na to, aby te zabawki niewinne usunąć stanowczo. Słowem, nie krępowano niczem młodzieży, pozostawiając ich prądom natury i własnej swobodzie, którą podniecano wódeczką i tytoniem.

Pan delegat Swisterski, dowiedziawszy się o tych różnych praktykach pedagogicznych i przemysłowo-handlowych, był za usunięciem natychmiastowem p. Starkla, lecz nietylko, że został przegłosowanym i p. Starkel nadal pozostał, ale jako wielce zasłużonemu, podwyższono mu pensyą o 400 zł. rocznie. Redakcya).

Rada administracyjna wystąpiła energicznie przeciw temu wszystkiemu. Postanowiono, ażeby dyrektor i naczelnik warstatów wystąpili ze spółki w przeciągu 3. miesięcy, gdyż zaangażowani byli kapitałem i ażeby narzędzia odebrać i materyału więcej nie dawać. Na zapytanie dla czego otworzono te warstaty w Mikołajowie, odpowiedziano, że w Drohowyżu było tyle zamówień, iż zakład nie mógł wydołać wszystkiemu. Na obesłanie wystawy kijowskiej straciła fundacya 1000 zł., obesłano tę wystawę bez uwiadomienia o tem rady administracyjnej. Zachodziła sprzeczność, raz twierdzono, że wiele zamówień było, a później znowu, że musiano się starać o zbyt towarów.

Finanse fundacyi potrzeba koniecznie doprowadzić do równowagi, dotychczas w warstatach marnotrawią pieniądze. Potrzeba warstaty zreorganizować, gdyż inaczej dzieci korzystać wcale nie będą z warstatów. Usunięcie Kövesza przeprowadziliśmy w ten sposób, żeśmy postawili kwestyę: „albo my albo Kövesz!“

Jednemu z urzędników (Kob....), który zdefraudował w fundacyi znaczne kwoty, uchwalono wynaszczyć pensyę; skutkiem wotum separatum, zgłoszonego przezemnie, cofnięto tę uchwałę i pensya wypłaconą nie została.

Zaprowadzono już nowe książkowanie, wypracowano na ostatniem posiedzeniu służbową pragmatykę“.

Po sprawozdaniu tem nastąpiła wielka senzacya.

Zdaje się, że te dwa skromne obrazki, a mianowicie p. Swisterskiego wystarczą, aby szersza publiczność miała pojęcie, czem był zakład w Drohowyżu.

Faktem jest, że p. Swisterski był bardzo upartym delegatem, gdy widział, że zostanie przegłosowanym, stawiał vota separata, które stawiały znowu w trudnem położeniu niektórych jego kolegów w Radzie zawiadowczej. I to też zapewne stało się powodem, że w pewnych sferach, postanowiono p. Swisterskiego usunąć z delegacyi na następną kadencyę trzechletnią. A gdy Rada miasta wybrała go pomimo wszelkiej agitacyi przeciwnej, p. Dr. Zgórki aczkolwiek przepadł w pierwszym wyborze, oświadczył, że wobec tego faktu (wyboru Swisterskiego) swego wyboru nie przyjmie.

Na następnem posiedzeniu wybrany też został w jego miejsce Dr. Teofil Ciesielski. W ostatniej chwili drugich wyborów, pozwoliło sobie pewne grono radnych uczynić niewczesny żart i to w liczbie 26 którzy głosowali na jednego z najstarszych członków Rady miasta, dobrze zasłużonego w Radzie, zacnego i prawego, ale nieposiadającego kwalifikacyi na delegata do fundacyi Skarbkowskiej, zresztą człowieka wiekowego, i obarczonego własnymi interesami. Miała to być farsa, ale my mamy odwagę powiedzieć, że była niewczesną, nie na miejscu, bo miała tylko na celu ośmieszenie delegatów z Rady miasta do fundacyi. Kto był pierwszym motorem do tego figielka, powinien się rumienić, bo się z kolegi radnego — weterana Rady, chociaż tylko rękodzielnika i niemającego pretensyi do pchania się pomiędzy sfery rzekomo wysokiej inteligencyi — nie robi takich zabawek.

KORESPONDENCYE.

Aksmanice dna 12. Kwietnia.

Szanowny Redaktorze!

Zapytujesz mnie, czy nie omyliłeś się co do powodów, jakie przytoczyłeś, że zapewne spowodowały mnie do wykreślenia się z Towarzystwa gospodarskiego. Zamiłowanie prawdy skłoniło mnie do wyznania, żeś się nieomylił. Wiadomo ci, że należałem do najczynniejszych członków Towarzystwa dopóty, dopóki byłem przekonany, że działa z pożytkiem dla kraju; ale z chwilą kiedy się przekonałem, że pod pozorem czegoś robienia nic się nie robi, że się krzywi i nie wypełnia uchwał zapadłych legalnego zebrania, jak to miało miejsce w roku zeszłym, kiedy na mój wniosek, ażeby oprócz żądania zaprowadzenia ceł od zboża w granicach państwa i zniżenia taryf kolejowych, były jednocześnie postawione wnioski zniżenia podatku gruntowego zbyt wysokiego i nad siły rolników, a zastąpienia ubytku w skarbie podatkiem giełdowym — oraz upomnienie się o zmienienie postępowania egzekucyjnego i sekwestracyi, pomimo licznych oklasków i uchwały ogromnej większości, aby te wnioski postawione były na kongresie agraryjnym we Wiedniu, przekonałem się z pism, że wnioski te przez Komitet nasz i jego delegowanych nie były wcale poruszone, a nawet kiedy się znalazł członek kongresu ks. Szwarzenberg, który te same wnioski poruszył, nasi przedstawiciele ani jednym wyrazem go nie poparli, choć do tego byli obowiązani— powiedziałem sobie: blagą jest Towarzystwo. Gdy nadto usłyszałem jednego z najzasłużeńszych ludzi na polach narodowem i rolniczem, palącego kadzidła dla prezesa i podnoszącego zasługi jego dla kraju, których nikt w kraju się nie domyślał nawet i nikt oprócz przyjaciół i popleczników nie dotąd o nich nie wie i żądał wybicia medalu dla tego prezesa, powiedziałem sobie — szkoda czasu i nie chcę moim imieniem być parawanem podobnej bladze, a pieniędzmi memi przyczyniać się do medalu. Przyznaję, że byłbym jeszcze został, gdybym był pewien, że na nim będzie wybita prawda, to jest: prezesowi Towarzystwa za to, że doprowadził do mianowania Go Excellencyą, co jest najwyższą korzyścią, jaką dotąd wielkości nasze dla kraju się odznaczyły. Ale nic niema nowego pod słońcem, a pamiętałem przykład z przeszłości. Jenerał Wincenty Krasiński po kampanii Napoleona w Hiszpanii, którego pułk Szwoliżerów polskich pod jego zostający dowództwem, wziął wąwozy Somosiery, a ponieważ po otrzymaniu rozkazu ataku słabo się nagle zrobiło Jenerałowi, więc zastąpił go podpułkownik Kozietulski, nie przeszkodziło to jednak pomyśleć Jenerałowi o wybiciu sobie medalu dla chwały Polski i wybił go rzeczywiście, z jednej strony umieszczając swoją podobiznę i nazwisko, a z drugiej kazał wybić: „Polacy Cnocie“. Ofiarując taki medal na pamiątkę memu ojcu, zapytał: cóż mówisz o tym medalu?— na to mój ojciec: ładny. — Ale co mówisz o napisie Jenerale? Na to znowu ojciec: w napisie są dwie nieprawdy — jedna, że nie Polacy, ale sam sobie Jenerale wybiłeś, a druga, że zamiast cnocie, aby

powiedzieć prawdę, należało wybić: niecnocie. — Niechcąc się narażać na podohną krytykę, ustąpiłem i powiedziałem sobie: Schwamm darüber.

W towarzystwie gospodarskiem w Przemyślu konstatując biedę w kraju i konieczność pomyślenia o środkach zaradczych, gdyż inaczej podstawa bytu społeczeństwa, rolnictwo, zupełnie upadnie, napominałem dziedziców i wyraziłem się, iż należałoby, aby dla niezatracenia tego stanu, który jest potrzebny dla tych, co sami gospodarować nie mogą, choć są właścicielami, bo gonią za Starostwami, Namiestnictwami, Marszałkowstwami, Excellencyami, Verwaltungsratami w Bankach i kolejach, że ponieważ ci dzierzawcy pobrali te dzierzawy w czasach drogich cen a one ogromnie pospadały, że w interesie tych dziedziców byłoby stosownem opuszczenia w sumach dzierzawnych im poczynić, inaczej dzierzawcy pobankrutują, a oni zostaną narażeni na administracyę na własny rachunek, przez co ubytki na cenach ponosić będą musieli, nie licząc że taka administracya często może im wcale dochodu nie przynieść, jeden z Członków, P. Władysław K. nazwał mnie za to złodziejem, wprawdzie nie tym wyrazem, który byłby zanadto rażącym, ale co na jedno wychodzi, powiedział, że sięgam do kieszeń cudzych na korzyść dzierzawców, a powiedział to z taką miną dobroduszną i z takim przyjaznym wzrokiem spoglądał na mnie, że odrazu przyszło mi przysłowie francuskie: „to ten co stanowi piosnkę“ i czułem się podchlebionym, że podniósł mię do rzędu wielkich ludzi wieku — jak Ofenheimy i towarzysze firmy, Lenderbankowicze, dyrektorzy Rady nadzorczej Banku włościańskiego, Banku szmaciarskiego, Banku ruskiego, Kasy zaliczkowej i wielu wielkości tego wieku. I co to jest duch czasu! Ja co miałem się za uczciwego, oszołomiony zostałem, podniesiony i porównany z tak wielkimi ludźmi i odtąd zapragnąłem większych sukcesów. Pomyślałem sobie, jak to dobrze że kiedy we Lwowie chciałem siągać do kieszeni skarbu Państwa na korzyść pracujących robotników, a do kieszeni giełdzistów na korzyść skarbu — że nie było na tym posiedzeniu pana Władysława K., bo byłby mi wtedy już niezawodnie zrobił zarzut usprawiedliwiony sięgania do kieszeń cudzych i to na korzyść powszechną. Dobrze że nie było prokuratora, bo ten byłby może powołał mnie za taki socyalizm do odpowiedzialności, a wielcy koledzy moi, z którymi pan Władysław mnie porównał, kradli wprawdzie, ale na swoją korzyść, nie byli więc winni socyalizmu — ale usiłować sięgać do kieszeń innych na korzyść ogółu lub całej klasy pracujących — to wielkie przestępstwo — ponieważ wielu właścicieli porobiło ustępstwa dzierzawcom zapewne nie dla tego, że ja tę potrzebę wyznawałem, ale z poczucia własnego interesu i sprawiedliwości — zapragnąłem dalej brnąć na drodze exploatacyi kieszeń cudzych.

I tak na posiedzeniu komisyi rewizyjnej Towarzystwa zaliczkowego rolnego w Przemyślu postawiłem wniosek obniżenia procentu od książeczek oszczędności dla mniejszych o 7, a dla większych o 17 i został jednomyślnie przyjęty. W drodze na obiad jeden z dyrektorów zrobił mi uwagę, że niepoprawny jestem, bo ot znowu sięgnąłem do kieszeni kapitalistów, a jednemu z kolegów wyciągnąłem z kieszeni tym wnioskiem całe 200 złr., Muszę wyznać, że głosował on za tem bez zwrócenia oczów; gdyby to nie kosztowało, wielką bym miał ochotę zaproponować wybić mu za to medal. Niepomny na wszystkie te experymenta kieszeniowe, postawiłem wniosek znowu przyjęty, ażeby, ponieważ związek towarzystw podniósł nam opłatę z 35 na 136 złr. aby wykreślić się ze związku, jeżeli nam niepozwoli w nim zostać z dawną wkładką. Sięgnąłem więc znowu do kieszeni tak mi sympatycznego związku na korzyść Towarzystwa zaliczkowego rolnego w Przemyślu. I wskutek tych operacyj kieszeniowych, mogliśmy postawić wniosek zniżenia procentu od 1. Lipca dla dłużników Towarzystwa zaliczkowego rolnego z 7 na 6, a co nam tem łatwiej przyjdzie, że dyrekcya za pomocą rekursu wyjąć ma niepłonną nadzieję z kieszeni to jest z Kasy Skarbu nieprawnie za wysoko pobrane podatki.

Przyszedłem do przekonania, że aby coś jednym dać, trzeba drugiemu zabrać. Strzedz tylko należy, aby się to działo w granicach paragrafów.

W tych dniach wpadło mi do ręki zamknięcie rachunków Towarzystwa zaliczkowego powiatowego w Sanoku i wyznam, że byłbym się bardzo przeląkł odpowiedzialnością, jaka grozi widocznie w niedalekim czasie dyrektorom, Radzie zawiadowczej, gdyby mnie nie uspokoiły łagodne i wyrozumiałe wyroki Sądu lwowskiego w sprawach banku ruskiego i Kasy zaliczkowej. — Niejednokrotnie mając sposobność kolegować z doktorami prawa i adwokatami, raziło mnie zaniedbanie naukowe tych panów, a jasno wypływające z ich rozumowań, — niemogłem sobie wyjaśnić, jak można być wysoko uczonym co do prawa, a nieznać z gruntu nauk szkół elementarnych. Dopiero proces funkcyonaryuszów banku ruskiego jasno mi całą rzecz objaśnił. Tłumaczenie się jednego z dyrektorów p. doktora praw i adwokata Dobrjańskiego w najwyższym stopniu naiwne i dobroduszne, przyznającego się do zupełnej niepoczytalności i nieznajomości 4. działań arytmetycznych, twierdzącego, że on był dyrektorem ale się na niczem nieznał i nic nierozumiał, w nic się niemięszał — pozwalał robić co kto chciał, bo miał jedynie wiarę zupełną, że dobrze robili koledzy i podwładni — tłumaczenie to przekonałom nie ostatecznie, że można być doktorem praw, a nie mieć pojęcia o najprostszych naukach — bo nawet przyjmować urzędy i godności, o których się niema wyobrażenia, słowem przekonał mnie o wartości wyrażenia ruskiego „krugom durak“. I gdyby pan Dobrjański nie był dowiódł swego zaniedbania umysłowego tak dobitnie, niezawodnie byłby się był dostał za kraty na lat kilka. Oj jak to dobrze mówi Pismo święte: „Błogosławieni ubodzy w duchu i wierzący“. Wołam też podniesionym głosem Wielcy koledzy! jeżeli chcecie robić wielkie geszefta, nieuczcie się i bądźcie hebesami, a wszystko wam ujdzie i jubel będziecie obchodzić na cześć swojej głupoty.

Los Towarzystwa powiatowego sanockiego byłby mnie niepokoił, gdybym sobie nieprzypomniał tłumaczenia w procesie Kasy zaliczkowej innego wielkiego człowieka, nie wiem tylko czy doktora, ale to wiem, że profesora buchalteryi i radcy skarbowego p. Teodora Kulczyckiego, który należał do komisyi kontrolującej, podpisywał bilanse fałszywe, wiedział, że tam coś dużo brakuje, ale wierzył, że to się poprawi. Niewiele go to obchodziło, że był dystrakt, bo zajęty był odnalezieniem wspomnień wielkiego swego przodka, który usługi wielkie oddał Sobieskiemu pod Wiedniem, a więc i Austrya wobec tak ważnego zajęcia niemiała czasu zajmować się losami jakiejś tam poziomej Kasy zaliczkowej. Sąd niezasądził go i słusznie bo nie można zasądzać dystrakta, a więc niepoczytalnego. Ciekawy jestem bardzo, czy też wielki przodek pana Kulczyckiego równie jest dumnym i zadowolonym z postępowania swego potomka.

Wracam do Towarzystwa sanockiego. Otóż w zamknięciu rachunków jest widocznem, że zalega niewypłaconych procentów przez dłużników 25.087 zł, 22 ct. W tej zaległości musi być dużo nieprawnych, skoro dyrekcya i Rada nadzorcza uznała za właściwe odpisać tych 3.763 zł. 8 ct. z czystego zysku. Na taką zaległość procentów wystarczą zaledwie udziały wynoszące 26.210 zł. Zostaje jeszcze wprawdzie kapitał rezerwowy 9.878 zł. 82 ct.. ale cóż to za minimalna sumka wobec kapitałów przeszło 300.000 przostałych z roku 1884. Naturalnie niewątpię, że one są hipotekowane, pożyczone na wiele lat, ale wątpię czy wszystkie są niewątpliwe wobec faktu, że część procentów od nich została umorzoną. Towarzystwo kilka lat temu dawało 12 i 13 dywidendy. Czyby Związek Towarzystw, do którego zapewne to Towarzystwo należy, nie pouczyło dyrekcyę, że jak tak dalej będzie, bankructwo będzie nieuniknione?

A. Krukowiecki.

Dr. Aleksander Okińczyc.

Za Wersalem w Villepreux (Seine et Oise) mieszkał dr. Aleksander Okińczyc, powszechnie szacowany przez tamtejszych mieszkańców dla swego charakteru przezacnego jako lekarz, dobroczyńca biednych. Ożeniony był z córką Bohdana Zaleskiego.

Do jego domu przeniósł się Bohdan i troskliwie pielęgnowany przez córkę i zięcia, doznawał tam pogody życia. Smierć atoli nieubłagana zabrała mu córkę; pozostała jednakże po niej dzieweczka, którą Bohdan serdecznie umiłował.

Dr. Okińczyc ożenił się po raz drugi z panną Anną Krechowiecką i miał z nią troje dzieci. Bohdan pozostał w ich domu i był jak dawniej pielęgnowany.

Dr. Okińczyc był rodem z Litwy i w powstaniu litewskiem 1863 r. bardzo chlubny wziął udział. Towarzysze jego odzywali się o jego zachowaniu się na polu bitwy z uznaniem i uszanowaniem, jako o mężu dzielnym, pełnym poświęcenia dla Ojczyzny.

Na emigracyi gdzie tylko był, wszędzie postępowaniem swojem chlubę przynosił imieniowi polskiemu.

Krótko bardzo chorował. Umarł 19. Marca 1886 r. przeżywszy lat 45.

Dla Bohdana Zaleskiego, złożonego chorobą starości, śmierć ta była ostatnim ciosem. Na pogrzebie nie mógł być z powodu osłabienia. Wszyscy już odtąd oczekiwali rychłego zgonu poety, który nastąpił 30. Marca.

Pogrzeb dra Okińczyca był bardzo wystawny. Gmina chciała okazałem wystąpieniem okazać cześć swoją dla zmarłego Polaka. Tłumy Francuzów, bo niemal wszyscy mieszkańcy z Villepreux postępowali za trumną, wśród nich garstka Polaków i Polek, przybyłych pomimo deszczu z Paryża.

Pomiędzy wieńcami na trumnie zauważaliśmy jeden wielki z napisem: La Commune de Villepreux, drugi La Commune de Crozatier, trzeci wieniec z napisem L'Orpheon de Villepreux.

Na czele pogrzebowego orszaku postępowały dzieci opuszczone z nauczycielami z zakładu z Crozatier. Przed niemi szedł dyrektor zakładu pan Bonjean. Jest to syn senatora Bonjean, wielkiego przyjaciela Polski, którego komuniści rozstrzelali w 1871 roku. Senator Bonjean założył w Crozatier Zakład dla dzieci opuszczonych.

Za Zakładem szli w szeregu członkowie Orfeonu, towarzystwa muzycznego w Villepreux. Tak w pochodzie, jak w kościele i na cmentarzu Orfeoniści grali marsz żałobny i pieśni kościelne.

Trumnie jako straż honorowa assystowali pp. Barbes, mer gminy, Gervais, notaryusz i radny gminy, Gallois i Mengot, radni.

Kilkutysięczna gromada nie mogła znaleść miejsca w kościele, głośnym płaczem i szlochaniem wyrażała na cmentarzu swoją żałobę.

Nad grobem przemówił p. Gervais, notaryusz. Mowę jego drukowaną w dzienniku La Voix des Communes podajemy w polskiem tłumaczeniu:

„W imieniu Rady municypalnej, która się tem szczyciła, że do jej grona należał dr. Okińczyc, w imieniu mieszkańców tej gminy, którzy, głęboko żalem wzruszeni, zgromadzili się około tego grobu, wypowiadam słowa pożegnania i czci dla człowieka dobroczynnego, którego śmierć wyrwała przedwcześnie z pomiędzy nas, pełnych dla niego szacunku i serdecznego współczucia!

Zamieszkiwał pomiędzy nami przeż lat dwadzieścia, wybrał bowiem Villepreux jako drugą przybraną Ojczyznę. Jesteśmy dumni z tego wyboru! Wszyscyśmy się spodziewali, że jeszcze przez długi lat szereg będziemy go widzieć pomiędzy sobą. Opatrzność niestety, inaczej zdecydowała! Wtedy gły się nam wydawał pełen siły i zdrowia, ona go już naznaczyła jako jednę z ofiar strasznej epidemii, która pomiędzy naszą ludnością porobiła wielkie spustoszenia. Ożywiony zapałem serca współczującego niedolę, dzień i noc spełniał misyę, którą sam sobie naznaczył, bez żadnego względu na znużenie wynikłe z tak trudnej pracy. Gdy chorego powierzono jego pielęgnowaniu, zapominał przy jego łożu, że siły fizyczne mają granice, których bezkarnie nie można przekraczać dla najszlachetniejszego nawet celu. On się najzupełniej poświęcał. Któż z nas nie widział go przy pracy i kto nie chwalił za jego gorliwości? Czyż jest rodzina, którąby nie zawdzięczała mu zachowania przy życiu ojca, matki lub drogiego dziecięcia!

Dla czegoż tak nagle skrócone zostało istnienie człowieka wielce pożytecznego, dla czegoż zniknął tak dzielny bojownik, który się szlachetnie dla innych poświęcał, dla czegoż zostały nam tylko zimne jego zwłoki, nad któremi płacze wdowa otoczona sierotami?

Gdy zasłabł dr. Okińczyc, pojął odrazu, że jest to choroba, na którą nie ma lekarstwa i patrzał na zbliżającą się śmierć z zimną krwią człowieka sprawiedliwego, któremu sumienie powiada, że spełnił swe zadanie; witał ją z poważną rezygnacyą duszy, która już na tym padole odkrywa świetność niebieskiego horyzontu!

Dzieciom swoim pozostawił pamięć bez plamy, współobywatelom przykład życia poświęconego ogólnemu dobru.

Zegnaj! kochany doktorze, żegnaj dobry przyjacielu! Męczennik obowiązku padłeś jako waleczny na polu chwały. Gdybyś mógł widzieć żal, jaki w nas strata Twej osoby obudziła?

Ożywiony głęboką wiarą, oddałeś Bogu duszę szlachetną i czystą bez skazy, odpoczywaj więc w wiecznym i szczęśliwym na Jego łonie pokoju!“.

Po nim przemówił jeszcze p. Fournestraux, doktór medycyny z Trappe, krótko ale serdecznie i ziemia skropiona łzami miłości Francuzów dla Polaka pokryła jego zwłoki.

„Jeżeli prawda“.

Pod tym tytułem zamieszcza *Kurjer lwowski* następujący artykuł, z którym to poglądem solidaryzuje się redakcya *Strażnicy polskiej*.

„Kiedy Towarzystwo rolnicze wystąpiło z projektem założenia Tow. ochrony własności ziemskiej, dzienniki ruskie w lot podsunęły przyszłej instytucyi cel polityczny: kolonizacyę Rusi Mazurami i gwałtownie wystąpiły przeciw całemu projektowi. Nie mając pozytywnych danych, nie zabraliśmy naonczas głosu, ograniczając się tylko z obowiązku dziennikarskiego do podania treści odezwy.

Stanowisko jednak nasze w tej sprawie na wypadek sprawdzenia się podejrzeń ruskich, nie mogło być wątpliwem dla nikogo.

Projekt systematycznej, umyślnej kolonizacyi ziem ruskich Mazurami, a szczególnie projekt tak podstępny, bezwarunkowo musielibyśmy potępić, widząc w nim krzyczącą niesprawiedliwość, która zamiast wyrównać przepaść dzielącą mieszkańców tego kraju,

dełałaby oliwy do ognia i sprawę pojednania odsunąćby mogła w daleką przyszłość.

Obecnie pisma ruskie a w szczególności *Diło* wystąpiło z nowemi podejrzeniami, opierając je jednak już na pozytywniejszych danych. Oto redakcya *Diła* dostała do rąk odezwę jakiegoś ajenta, który w imieniu pewnego właściciela dóbr z Kołomyjskiego, wzywa włościan polskich, do zakupna tam parceli, z majątku 1.000 morgowego wydzielić się mających.

Odezwa zapowiada, że właściciel chcąc uzyskać osadę czysto polską, parceluje obszar 1000 morgów i sprzedawać będzie 12-morgowe parcele wyłącznie osadnikom narodowości polskiej po cenie 60 złr. za morg, dodając nadto drzewo potrzebne na zabudowania. Połowa ceny kupna płatna jest gotówką, połowa w ciągu 10 lat. Odezwa ta — według „Diła" — rozesłaną została do właścicieli dóbr na Mazurach, z prośbą o rozrzucenie egzemplarzy po gminach.

„Diło" łączy tę sprawę z projektem towarzystwa ochrony własności ziemskiej i gwałtownie uderza na jej inicjatorów. Nie bez słuszności pyta „Diło", w czem różni się to postępownuie od postępowania Bismarka w Poznańskiem?

My z naszej strony oświadczamy jasno i dobitnie, że o ile podejrzenia ruskie okazałyby się prawdziwemi, bezwarunkowo solidaryzujemy się w tej sprawie z zapatrywaniami „Diła", uważając taki projekt za nielojalny, niebezpieczny i do żadnego nie prowadzący celu.

Naród polski stoi niezłomną wiarą w żywotność narodowościowej idei, sam dał tej żywotności świetne dowody, nie powinien więc i nie może łudzić się nadzieją, że sztucznymi i przewrotnymi środkami potrafi uspić raz obudzony ruch narodowy ruski. Jeżeli go zaś nie uspi, to popierając kolonizacyę doprowadzi kraj do ciągłych a nieskończonych waśni, stworzy sytuacyę bez wyjścia i sprowadzi u nas takie stosunki, jakie trawią obecnie nieszczęśliwe królestwo czeskie.

Do takiego dzieła żaden prawy Polak ręki nie przyłoży.

KRONIKA.

W Imieniu Jego Cesarskiej Mości!

C. k. Sąd krajowy dla spraw karnych we Lwowie orzekł na mocy §. 489 i 493 sp. k. i §. 37. ust. pras. że treść artykułu umieszczonego w numerze 13. czasopisma: „*Strażnica polska*" z dnia 1. Kwietnia 1886. pod napisem: „Za co? (Z Warty)." zawiera znamiona zbrodni z §. 66. u. k. zatem usprawiedliwioną jest zarządzona przez c. k. prokuratora rządowego konfiskata tego czasopisma. W skutek tej uchwały wzbronione jest dalsze rozpowszechnienie tego artykułu, a zabrany nakład ma być zniszczony.

Powody: Ponieważ artykuł pod napisem „Za co? (z Warty)" zawiera w sobie znamiona zbrodni z §. 66. ust. w związku z rozporządzeniem c. k. ministerstwa sprawiedliwości z dnia 19 października 1860 l. 233. d. p. P. przeto uchwała zatwierdzająca konfiskatę jest uzasadnioną.

Lwów dnia 13 kwietnia 1886.

Dobrze zasłużonemu.

Dnia 10. Kwietnia r. b. odbyła się podniosła i rozrzewniająca uroczystość w „Gwiaździe" lwowskiej, gdzie w 76. rocznicę Towarzystwo „Gwiazdy" postanowiło uczcić swego starego prezesa i najserdeczniejszego opiekuna, ojca Mieczysława Darowskiego. O godzinie 10. odbyła się solenna msza św. w kościele OO. Franciszkanów, na którą się udali członkowie „Gwiazdy" ze swoim prezesem p. Głodzińskim i wielu przyjaciół naszego starego dzielnego weterana. O godzinie 11. zapełniła się sala „Gwiazdy" uroczo udekorowana, w której się zgromadzili członkowie wraz zrodzinami. Przedewszystkiem zauważaliśmy mnóstwo młodzieży obojga płci, a oprócz nich przybył prezydent miasta p. Dąbrowski i kilku radnych, hr. Skarbek, kurator fundacyi Skarbkowskiej, ostatni Mohikanie lwowscy, a towarzysze broni jubilata z r. 1831, kilku profesorów, nauczycieli i dziennikarzy. Gdy jubilat wprowadzony został do sali, powitały go grzmoty oklasków. Prezes „Gwiazdy" w towarzystwie dwóch małych dziewczątek wręczając wieniec laurowy ze wstęgami o barwach narodowych z herbami miasta, Polski, Litwy i Rusi, przemówił w serdecznych słowach, a które staremu weteranowi na polu narodowej pracy wycisnęły łzy z oczu.

Nastąpiły chóry i deklamacye, wykonane przez młodzież rękodzielniczą z precyzyą godną uznania, a tem więcej radośną, jeżeli zważymy, jak ta młodzież dąży pod każdym względem do zdobycia oświaty. Po produkcyach tych zbliżyły się do jubilata deputacye rękodzielników starszych, młodzieży, towarzystw korporacyjnych, wręczając adresa czci i honorowe dyplomy. Aż się serce radowało na widok tej dzielnej młodzieży, która przy twardej pracy wchodzi na coraz szlachetniejsze tory.

Szanowny jubilat wzruszony do głębi duszy jeszcze więcej rozrzewnił zgromadzenie, gdy już i tak każde oko perliło się łzą. Ale bo też ten ojciec Mieczysław Darowski jak dzielnym był ongi w bojach, taki pozostał w życiu obywatelskiem, aż do dzisiejszej późnej siwizny. Wprawdzie ciało się pochyliło i włos pobielał, pomimo to duch zachował prawie młodzieńczą siłę, a to zacne serce tak samo żywo bije jak kiedyś w wieku młodzieńczym i męskiej siły.

Hołdy składane acz skromne, mogą dla niejednego stać się przykładem, co to znaczy spędzić żywot, jak Bóg i ojczyzna nakazuje. A to uznanie — przekonani jesteśmy, że jest cenniejsze dla naszego ojca Mieczysława, aniżeli dla innych wstęgi wielkich orderów, lub niewiedzieć jakie odznaki honorowe, bo po takich pamięć prędko ginie, a imię dobrze zasłużonego obywatela ojczyznie przechodzi w pamięci z pokolenia na pokolenie.

Okrzyk z duszy i serc — „Niech żyje ojciec Mieczystaw Darowski"! — zakończył tę uroczystość. a ostatni Mohikanie, wiarusy z 1831 r., z jakąż dumą wyprowadzali swego towarzysza i jak krzepko ściskali dłonie starego ułana!

W ostatnim numerze „Chwili" warszawskiej obecnie wielkim tygodniku politycznym z dnia 8. kwietnia, znajdujemy w dziale „Przeglądu prasy polskiej" odpowiedź na nasz artykuł o słowianofilskich prądach Zbyt późno otrzymaliśmy ten numer, żebyśmy mogli snuć dalsze uwagi, gdyż uważamy wymianę zapatrywań za wyjaśnienie sytuacyi, a nie za polemikę — ale zniewoleni jesteśmy przytoczyć wstęp do uwag *Chwili* i z naszej strony powiedzieć na razie słów kilka. Wstęp ten opiewa:

„*Strażnica polska* dwutygodnik wychodzący we Lwowie, w Nrze z 15. marca, ostatnim jaki nasz doszedł, polemizuje z nami z powodu artykułu wstępnego pomieszczonego w Nr. 47 *Chwili* z d. 2 marca r. b. Na argumenta *Strażnicy* uważamy za właściwe tu odpowiedzieć, tak z powodu ich bądź co bądź ważności jak i spokoju, oraz godności pewnej, z którą wypowiedziane zostały.

Szczególniejsza, że Gniewosz (redaktor *Strażnicy*), ten Gniewosz okrzyczany nieomal za „rewolwerowego" dziennikarza we Lwowie, pierwszy, w sposób zasadniczy i uczciwy, z całej prasy polskiej w Galicyi i Poznańskiem z nami polemizuje. Dowodziłoby to, że „nie taki straszny djabeł jak go malują" i że musi ta Galicya być wielce zabagnioną, kiedy potrzebuje takiego ostrodzióbego bociana Gniewosza, nieprzebaczającego żadnej nikczemnej gadzinie. Pamiętamy — przed kilku laty *Przegląd Tygodniowy* w artykule wstępnym stanął w obronie Gniewosza i pokazuje się, że od tego rzekomo „rewolwerowego" dziennikarza lwowskiego wieleby się mogli nauczyć nietylko „żółtodzióbi korespondenci warszawscy" do *Dziennika Poznańskiego*, ale i sama redakcya tego Dziennika".

Przytoczyliśmy dla tego ustęp powyższy, że świadczy on o obudzeniu domysłów w Warszawie, domysłów, które mówiąc za Szekspirem konstatują, iż w naszej Galicyi jak w Danii Hamletowskiej „cuchnie zgnilizną". Wiedzianoby o tem dawno, gdyby nie powierzchowne sądy i opinie ciągle i przeważnie „frakcyjnej" prasy w Galicyi. Ale lepiej późno niż nigdy, lepiej, że przychodzą ludzie do przekonania o istotnym stanie rzeczy. Myśmy byli zawsze w polityce i położeniu odnoszącem się do niej, realistami, nie łudziliśmy nigdy i za to niejednokrotnie spotykały nas potwarze, jak spotykają równie w Królestwie ludzi tych, którzy nie odstępując od zasady, szukają tylko nowych środków i nowych dróg. Na razie dość nam przypomnieć sprawę ruską, którąśmy podnieśli pierwsi nawołując do sprawiedliwości. Dziś mamy już polityków, którzy uznają swój błąd, ale w owej pierwszej chwili, pomawiano nas o zdradę idei narodowej. Myśmy jednak pragnęli dla niej zjednać tylko przyjaciół, których zdobywa się prawdą i sprawiedliwością. Cieszyłoby nas dla dobra sprawy, gdyby prasa warszawska zechciała poważniej badać stan rzeczy w Galicyi, jak to uczyniła tym razem *Chwila*, bo jesteśmy przekonani, że tylko wzajemna a sumienna krytyka wzmocnić nas może, tak jak osłabić muszą rekryminacye bez celu i często bez sensu. Być może, iż doczekamy się nareszcie w życiu publicznem dojrzałości politycznej, sumienności i prawdy, a wyrzeczemy blagi i złudzeń, wówczas bowiem będziemy mogli z pewniejszym skutkiem powiedzieć: Jeszcze Polska nie zginęła.

Słowo pożegnalne na cześć ś. p. Bohdana Zaleskiego. Druhu i ostatni mój kolego sejmowy z 1831 roku czcigodny Synu Polski! opuściłeś nas i zamieniłeś doczesną na wieczną Ojczyznę! Zostawiłeś nas na łzawym padole wśród bolesnych ciosów ojczyźnie zadawanych, śród próżni która zapełnioną być nie może!

Niech żałoba narodowa po twoim zgonie świadczy, jak dalece Polska się w Ciebie wcieliła, jak potężny był u Ciebie duch miłości, poświęcenia i talent! Swieczniki narodowe nie gasną, żyć przeto będziesz w pamięci i sercu naszego narodu, i wskazywać dzisiejszemu i przyszłym pokoleniom, jak należy służyć Bogu i Ojczyźnie z pełną wiarą w jej odrodzenie. Prawie rówiennik twój wiekiem, przejęty twem zamiłowaniem wszystkiego co polskie i narodowe u progu wieczności, gotuję się do twej pielgrzymki, utraciwszy wszystkich moich bliższych towarzyszy ze świetnej epoki wojny o niepodległość, ale pragnę w ostatnich dniach żywota, uczcić pamięć twoją; wzywając ziomków do ślubowania na twoim grobie *zjednoczenia, łączności i solidarności*, które jedynie mogą nas uratować od niebezpieczeństwa, grożącego naszemu narodowi.

W chwili obecnej tak smutnej i pełnej grozy, szukajmy w przeszłości pociechy i otaczajmy czcią penatów naszych i pamiątki ojczyste. W naszych narodowych ogniskach żyje i żyć będzie Polska, która w śmierci Bohdana tak wielką stratę poniosła.

Żegnamy Cię ukochany wieszczu, uproś nam u Wszechmocnego Boga odrodzenie rychłe zbolałej Ojczyzny.

Zamek muzeum narodowego w Rapperswyl 5. kwietnia 1886 r.

Władysław Plater.

Nemo propheta in patria. Tak sobie może powiedzieć p. Dr. Rutowski, który już po raz drugi kandyduje jako delegat do Rady państwa w rodzinnem mieście Tarnowie i po raz drugi otrzymuje po jednym głosie. Tak, tak, panie Doktorze, nawet w Tarnowie „ne zduryt aptekar ludej szajdwaserom".

Ciesz się hierarchio społeczna. (Z Diła). Miasto Dębica, nie daleko Tarnowa liczy 4000 mieszkańców, 3200 żydów, a 800 chrześcijan. W lutym 1886. r. przed wyborami do Rady gminnej, inteligencya kierując się zasadą „równi z równymi", zawarła układ z żydami, aby do nowej Rady gminnej weszła połowa chrześcijan i połowa żydów. Bracia mojżeszowego wyznania przyjęli ten układ niby bardzo chętnie; nadzieje były najpiękniejsze; inteligencya zacierała ręce z tak świetnego sukcesu, a właściwie założyła ręce, uważając wszelką agitacyę za zbyteczną zwłaszcza tam, gdzie się polega na słowie brata mojżeszowego wyznania.

Tymczasem nowa Rada gminna na 6 lat wybrana tak się przedstawia: *17. radnych żydów, a jeden chrześcijanin, 8 zastępców żydów, a jeden chrześcijanin!* Rezultat ten wyborów byłby śmiesznym gdyby nie był nad wyraz smutnym. Z faktu tego widoczną jest nietylko przewaga żydów w samej Dębicy, ale zarazem i lekceważenie wpływu inteligencyi na okolicę. Widocznie żydzi wierzą w to, że inteligencya nie ma w sobie na tyle sił żywotnych, aby podjąć rzuconą jej rękawicę i z słowami na ustach: „nie wszystko jeszcze stracone" — szukać po wsiach zbawienia w twardej pracy nad moralnem i materyalnem dźwignieniem ludu mazurskiego, i w ten sposób ratować się od zagłady. Jeżeli tutejsi bracia mojżeszowego wyznania mówią o tutejszej inteligencyi: „*ne pomože babi kadyło, jak babu skazyło*", to można wierzyć ich słowom, gdyż to dobrzy znawcy, i nigdy na ślepo nie strzelają.

Ze Swieckiego w ks. Poznańskiem donoszą, że lud tej wiosny wyjeżdża masami do Ameryki. Ze Świecia wynosi się kilka rodzin rzemieślniczych.

Ściągają ich tam głównie listy krewnych, którzy im w Ameryce złote góry obiecują.

Ze Świeckiego wędrują nie biedni, ale tacy, co posiadają kawał roli, a nawet trochę grosza uciułanego.

Równocześnie mnóstwo ludu wędruje do Brandeburgii i Meklemburgii. Najmują ich ajenci do tamtejszych cukrowni.

Niezwykły talent do rysunków mieliśmy sposobność podziwiać u chłopca wiejskiego, który nigdy dotychczas nie miał w ręku ołówka. Przed niedawnym czasem przybłąkał się do Czerniowiec wyrostek, Mikołaj Trybus, syn ubogiego wieśniaka ze Zręcina w powiecie krośnieńskim. Chłopiec ten ukończył wprawdzie dwie klasy miejscowej szkoły ludowej, ale podobno nie wiele tam skorzystał. Następnie najął się, jako poganiacz wołów i w tym charakterze przybył aż na Bukowinę. W mieście naszem brakło mu zarobku i szukając służby, dostał się do domu p. Kozowera, sekretarza giełdy zbożowej, który przyjął młodego Mazura na posługacza. Trybus wnet zdradził się z ukrytym talentem, w wolnych bowiem od pracy chwilach chwytał ołówek swego pana i na świstkach papieru rysował rozmaite postacie, biorąc wzór z osób żyjących, lub też kopiował obrazki z książek, a wszystko to z zadziwiającą dokładnością i podobieństwem. Patrząc na te studya, trudno uwierzyć, że nie pochodzą one z pod ręki wprawnego rysownika. Trybus nie wie o istnieniu gumy elastycznej, ani też nic nie słyszał o nauce rysunku, lub sposobach cieniowania, — mimo to jednak sam odgadł teoryę władania

ołówkiem, a miękkość linij i czystość rysunku jest wzorową. P. Kozower przedstawiał domorosłego artystę profesorom tutejszej szkoły przemysłowej, którzy rokują Trybusowi niepospolitą przyszłość, oczywiście, jeżeli znajdzie podstawę do dalszego kształcenia ogromnego swego talentu.

Byłaby szkoda, gdyby wrodzona, a niezwykła zdolność miała zmarnieć...

Trybus pozostaje i nadal w dotychczasowej służbie.

„Gazeta Polska“.

Bolesław Prus jest bez zaprzeczenia człowiekiem zacnym, pisarzem niepospolitego talentu, wybornym niekiedy humorystą, ale to wszystko nie przeszkadza mu mieć pewnych dziwacznych wyobrażeń, których wybić sobie z głowy nie da. Utrzymuje on między innemi, że z Niemcami, którzy trzęsą u nas przemysłem, którzy prawie wszystkie posiadają fabryki, jest nam dobrze i powinniśmy się z tego cieszyć. Oto co o tem pisze w fejletonie *Kurjera warszawskiego*.

„Właśnie spotkałem pewnego przemysłowca, który aczkolwiek posiada warunki szczęścia puszczane w obieg przez bank państwa, lecz mimo to — jest smutny.

— Cóż to — pytam — fabryka stanęła?

— Gdzież tam, idzie dobrze.

— Może sklep nie ma obstalunków?

— Ma aż zanadto.

— Więc może posiadasz pan w swoim domu niepunktualnych lokatorów, którzy ociągają się z komornem?

— I to nie.

— Czegóżeś pan smutny?

— Bah! Czy pan nie wiesz? W pismach mnie szykanują...

— Cóżeś pan zrobił?

— Ja nic, owszem mnie samego skrzywdzono. Ale ponieważ mój antagonista należy do tych, których nazwiska kończą się na ...cki, ..ski, ...wicz, a ja do tych, co kończą się na ...man, ...ner, ...ein, więc jazda na mnie! Mówią, że jestem Niemiec, choć się tu urodziłem; że zawadzam w kraju, choć stworzyłem nową gałęź przemysłu i że wyzyskuję ludność miejscową, choć sam do niej należę i pracuję z nią i dla niej.

Cóż mi więc z majątku, jeżeli lada kto na zasadzie nazwiska traktuje mnie jak podejrzanego? Co mi z pracy, jeżeli setki próżniaków z dźwięcznieniejszemi od mojej końcówkami, mają prawo nazywać mnie „obcą naleciałością, która panoszy się w naszym kraju?

— Czy sądzisz pan, że pańscy antagoniści są ludźmi wielkiego rozumu?

— Tego nie twierdzę, ale zawsze jest faktem, że: „daleko słychać bęben — bo pusty“. Nam nareszcie, prywatnym smiertelnikom, nie pochlebia opisywanie po gazetach. W domu płacz, na mieście kiwają głowami przyjaciele, poczta znosi anonimy... I mamże ja być wesół... sam pan powiedz“.

Zapewne! pozycya nie wesoła, ale cóż robić? Biblijny Bóg nawet dla trzech sprawiedliwych nie chciał ocalić Sodomy i Gomory, a my mielibyśmy dla jednego, przypuśćmy nawet, że najlepiej życzącego nam Niemca, nie wołać, że źle jest z naszym przemysłem, co muiejsza, ale jeszcze gorzej jest z naszą narodowością, co już przyzna Prus, jest rzeczą pierwszorzędnej dla nas wagi. *(Chwila)*

Na cmentarzu Montmatre (pod Paryżem) pomnik grobowy Juliusza Słowackiego, w opłakanym znajduje się stanie. Czytamy o tem w ostatniej kronice paryzkiej „Biblioteki Warszawskiej“. Czyż potrzebujemy dodawać za autorką: „Gdyby liczni miłośnicy poety, zestrzelili myśli i chęci w jedno ognisko, twórca „Kordyana“ i „Anhellego“, miałby wkrótce godny siebie monument“.

Sprawozdanie targowe.

Lwów dnia 21. kwietnia.

Pomimo długiej i śnieżnej zimy, urodzaje wogóle na rok bieżący zapowiadają niezłe sprzęty. Francya, Niemcy, Austrya i Węgry nie skarzą się żeby oziminy za bardzo wiele nieucierpiały. W niektórych tylko okolicach, ale i tych jest w ogóle bardzo mało, skarzą się na wyprzenie oziminy pod śniegiem, szczególniej w miejscowościach, gdzie za bardzo wybujały zasiewy jesienne na zimę. Za to z Ameryki, jakoteż i z Indyi nieszczególne dochodzą nas wiadomości, gdzie w roku zeszłym do 10% mniej zasiano pszenicy, — z powodu drogiego zboża, jak niemniej i zniechęcenia fermerów i późno uskutecznionych zasiewów.

Z Rosyi co do widoków przyszłych urodzajów, nie mamamy jeszcze prawie żadnych wiadomości.

Z powodu zasiewow wiosennych, mały jest w ogólności dowóz zboza na targi, a przytem święta szezegolnie żydowskie, pokazywały nieszczególne usposobienie do transakcyi.

w całych Niemczech obrót pszenicy i żyta, ograniczył się po większej części na potrzeby miejscowe, i własnym zbożem, gdyż dla zaprowadzonego cła w Niemczech dowóz z zagranicy w tym roku zmiejszył się prawie o ⅓ w porównaniu lat poprzednich.

W Rosyi pomimo niższych cen, oczyszczenia morza i portów morza Bałtyckiego z lodów, nie było obrotu zbożowego.

W Szwajcaryi również usposobienie było słabe.

W Wiedniu ruch był barozo ograniczony i nie rokuje na razie nic pocieszającego.

W ogóle zastój handlowy czuć się daje i tylko konsumcya jest zaspokojona, a żadne większe transakcye nie są robione.

Pomimo chwilowego zastoju, zdaje się, że czasy dzisiejsze nie obniżają się, zwłaszcza iż zapasy znacznie uszczuplone, nie tylko u nas w Europie, ale również i w Ameryce.

W Galicyi jak zwykle o tym czasie, ruch jest bardzo mały i usposobienie mdłe, lubo że ceny nie spadły; ale za to objawiło się więcej ruchu na dostawę jesienną, i jak nam donoszą ze wschodniej części kraju miano znaczniejsze zakupna porobić pszenicy po cenie od 7.50 do 8.28.

Ruch żytem na targu wiedeńskim z powodu małych obrotów dość ożywiony, na Węgrzech przy większej sprzedaży obniżyła się cena o 15 do 20 centów. W kraju ceny nieuległy większej zmianie.

Zasoby jęczmienia powiększyły się w stosunku do zeszłego miesiąca, dla tego na wszystkich targach niemal zupełny zastój.

Owies niebardzo poszukiwany, kupowany tylko przez liwerantów; tylko w mniejszych partyach jest kupowany przez rolników.

Hreczką zaopatrują się tak rolnicy jak i na konsumcyę przeważnie rosyjską, ceny utrzymują się, i jest zakupywana z chęcią.

Grochu mało kto kupuje, ceny jednakowoż nie zmieniły się.

Bobik również Wyka znajdują chętnych kupców.

Ponieważ rzepak mają psuć robaki, w Banacie ceny o 50 centów podniosły się; — tak w Paryżu jak też w Wiedniu usposobienie stałe, płacono za nowy rzepak te same ceny, co i za gotowe ziarno.

Z powodu, że wiele koniczyny z Anglii odchodzi do Ameryki, ceny są stałe; u nas dla opóźnionej pory niema prawie żadnego obrotu.

Chmiel jak zewsząd donoszą jest bez ceny; i radzić by należało, aby chmielarnie zostały uszczuplone, zdaje się bowiem że większa jest produkcya jak potrzeba.

O spirytus mały popyt, dawniejsze ceny utrzymują się

Ceny targowe z dnia 21. Kwietnia.

Pszenica gotowa	8·—	do	8·75
Żyto gotowe	6·—	„	6·20
Jęczmień	5·75	„	7·—
Owies	6·75	„	7·—
Groch	6·—	„	9·75
Wyka	7·—	„	8·—
Rzepak	—	„	—
Hreczka	—	„	—

Koniczyna 40· — 53· za 100 kilo bez worka

Chmiel za 56 kl. po 5· do 10. bez odbiorcy.

Okowita za 10.000 litr. pr. we Lwowie 24·—2450.

„OSA"

najtańszy dwutygodnik satyryczny,

wychodzi we Lwowie od 1. Lutego 1886 r.

Prenumerata kosztuje:

We Lwowie (z przesyłką):		Na prowincyi:	
rocznie	2 zł. 50 ct.	rocznie	2 zł. 80 ct.
półrocznie . . .	1 „ 30 „	półrocznie . . .	1 „ 50 „
kwartalnie . . .	— „ 70 „	kwartalnie . . .	— „ 80 „

Redakcya i Administracya we Lwowie, Rynek l. 8.

ALEKSANDER SCHINDLER

rytownik

ulica Kopernika l. 17. we Lwowie

poleca swoją pracownię Rytowniczą jako pierwszą na drogich kamieniach

Rytowania Herbów, Monogramów i Liter.

Pieczęcie do laku i farby dla W. P. Notaryuszów, Adwokatów, Sędzi, Nauczycieli i k. Proboszczów.

METALOWE i KAUCZUKOWE.

Rzeźby na złocie i srebrze, rytuje herby, monogramy na wszelkich metalach. Maszynki do wyciskania sucho na listach herbów, monogramów i całych nazwisk. Cęgi do opłatków. — Wykonywa medale podług fotografii i sztychów. Pracownia stempli kauczukowych.

Zamówienia wszelkie z prowincyi wykonywa szybko i po cenach przystępnych za zaliczką.

Z szacunkiem

Schindler, rytownik.

Ces. król. uprzyw.

Rafinerya Spirytusu

FABRYKA RUMU, LIKIERÓW I OCTU

JULJUSZA MIKOLASCHA

we Lwowie

poleca

Spirytus najczyściejszy

dla fabryk **Likierów** i do fabrykacyi **Perfum**, dla pp. Aptekarzy i t. d.

ROSOLISY NAJPRZEDNIEJSZE, WÓDKI MOCNE POLSKIE i t. d.

wszystko po cenach umiarkowanych.

Dyplom honorowy na wystawie krajowej

SPÓŁKA STOLARZY LWOWSKICH

przy placu Bernardyńskim L. 15. we Lwowie,

poleca swój obficie zaopatrzony

SKŁAD MEBLI

oraz wielki wybór **luster, materyi na meble, dywanów sukna na podłogę, karniszów i kutasów do okien, jakoteż mebli giętych i żelaznych.**

Trzy medale zasług i na wystawach krajowych

FABRYKA GIPSU

Józefy Franz

we Lwowie ul. Gipsowa l. 3, skład ul. Rzeźnicka l. 16,

poleca swe wybory jako to:

I. gips bardzo miałki i bardzo biały do sztukateryj i rzeźb.

II. gips bardzo miałki i mniej biały do sztukateryj i rzeźb. (5, 19—40)

III. gips budowlany.

IV. gips surowy czyli nawozowy.

WYPŁACAMY

przed terminem płatniczym wylosowane

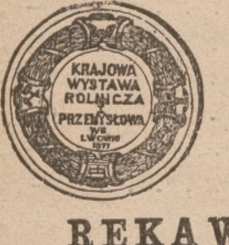
4% **Listy zast** Tw. kr.	100.—	zł.	bieżący kupon osob.
5% „ „ „ „	100.15	„	
5% „ „ Ban. hip.	100.10	„	
5% „ „ B. hip. pr.	100.10	„	
6% „ „ Ban. hip.	100.30	„	
Obligacye indemnizac.	105.—	„	

Sokal i Lilien

Dom bankowy i kantor wymiany

we 8, 6—?

Lwowie



J. CIROK



przedtem

E. ZIEGLER

RĘKAWICZNIK i BANDAŻYSTA

(12, 5—?) **we Lwowie, Rynek L. 30**

pod godłem „RYCERZA"

poleca swój skład własnego wyrobu wszelkiego rodzaju

TOWAROW RĘKAWICZNICZYCH

mianowicie:

wszelkie rodzaje damskich i męskich rękawiczek we wszystkich najnowszych barwach, amerykańskie jelonkowe pantalony. skóry łosiowe i jelonkowe do pokrycia łóżek, poduszki, torby, czapki mundurowe i cywilne, szelki, krawatki, szaliki, bandaże płócienne i elastyczne, pończochy gumielastyczne, oraz rozmaite wyroby skórkowe

po stałych i umiarkowanych cenach.

Zamówienia z prowincyi uskuteczniają się odwrotną pocztą.

Magazyny: Rynek l. 30, i ulica Halicka l. 6.

Magazyny: Rynek l. 30, i ulica Halicka l. 6.

Mam honor najuprzejmiej zawiadomić P. T. Światłą Publiczność, że od przeszło piętnastu lat istniejącą księgarnię pod firmą:

Księgarnia Polska A. D. Bartoszewicza

we Lwowie, plac Halicki 14.

po śmierci nieodżałowanego męża mego ś. p. Adama, nadal sama, na własny rachunek i w niezmienionym rozmiarze prowadzić będę.

Zaopatrzywszy świeżo księgarnię moją we wszelkiego rodzaju książki tak dawniejszych, jak i najnowszych publikacyi, urządziwszy oraz jak najdokładniejszą ekspedycję wszystkich tak w kraju, jak i za granicą wychodzących belletrystycznych, literackich i fachowych czasopism we wszystkich językach, polecam takową Szanownej Publiczności, upraszając o zachowanie i dla mnie tych względów i zaufania, jakimi światła P. T. Publiczność śp. męża mego tak szczodrze zaszczycać raczyła. Wszelkie zamówienia z prowincyi na gdziekolwiek i w jakimkolwiek języku wyszłe książki i czasopisma, nadsełać będzie moja księgarnia po najumiarkowańszych cenach, rychło i dokładnie. Mam honor kreślić się.

Z głębokiem uszanowaniem

Ł. K. Bartoszewicz

wdowa.

J. Drexler & Synowie

Lwów, Nr. 2. Kapitulny plac

polecają

Gotową pościel

własnego wyrobu, oraz

POŚCIEL ZDROWIA systemu **dra Jaegera**

jako to: kołdry, kocyki, materace i poduszki zewnątrz i wewnątrz czysto wełniane.— **Owczą wełnę** do podszycia paltotów, kołder i t. p. — **Bieliznę męską** także prawidłową, systemu **dra Jaegera.**

PŁÓTNA i stołową BIELIZNĘ. Szirtingi Schrolla. Dywany angielskie, kapy i koce.

Webę King

oryginalną, o 60prct. tańszą zaś trwalszą od płótna, sporządzoną z najprzedniejszéj bawełnianéj przędzy, t. z. „Drathgarn".

Sztuka	20 metrów	78 cent. szerok.		na grubszą bieliznę	. zł. 7.—
„	20 „	88 „	„	na cienką bieliznę, poszewki i prześcieradła	„ 8.50
„	15 „	175 „	„	na 6 prześcieradeł .	. „ 11.80
„	15 „	175 „	„	na 6 „ cienkich	„ 13.—
„	15 „	200 „	„	na 6 prześcieradeł	. „ 12.80

Cenniki i próbki franco.

Najtańsze wydawnictwo Księgarni Polskiej:

POEZJE

Adama Mickiewicza

wydanie kompletne w 4 tomach na ładnym satynowanym papierze opuściły prasę nakładem **Księgarni Polskiej** we Lwowie w najtańszem wydaniu. Cena za 4 tomy **1·60**, w eleganckiej oprawie **2 50**, (po za Lwowem o 10 centów więcej na list frachtowy i opakowanie). Zamawiający naraz 5 egzemplarzy z dołączeniem należytości otrzymają posyłkę franko. Zamówienia należy adresować do: **Księgarni Polskiej**. Lwów, Plac Halicki 14.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Jan Nepomucen z Oleksowa Gniewosz.**

Pod zarządem Szczęsnego Bednarskiego

Z drukarni Anny Wajdowiczowej (pt. Poremby), Rynek l. 9